

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 70

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, ¹⁴/₂₆ stycznia 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Karol Kurpiński (z drzeworytów).—Kronika tygodniowa.—Wieśniacy z Lubelskiego (z trzema drzeworytami).—Tadeusz Czacki (dokończenie).—Ruch dziennikarski w Galicyi.—Wiek przeszły i wiek teraźniejszy (z czterema drzeworytami).—Szachy.—Rebus.—Kilka słów o powieści.—Nigdy.—Korespondencya od redakcyi.—Doniesienia.

Karol Kurpiński.

Karol Kurpiński urodził się dnia 6 marca 1785 roku w wielkiem księstwie poznańskiem, w powiecie wschowskim, we wsi Włoszakowice, należącej do dóbr księcia Franciszka Sułkowskiego, a sławnej w kraju z przepysznego trójgarniastego pałacu, w którym ten magnat zwykle rezydował. Ojciec Kurpińskiego, wraz z żoną Wańską z domu, posiadając w téjże wsi folwark, był zarazem organistą przy parafialnym kościele, a że uchodził w okolicy za biegłego w swéj sztuce, wiele młodzieży przysyłano mu na naukę.

Jak wszyscy prawie najznakomitsi kompozytorowie, tak i nasz Karol w młodym bardzo wieku okazywał wiele skłonności i upodobania do muzyki; przysłuchiwał się z rokoszą grze ojca swojego, zaglądał ciekawie do organów i klawikordu, śledząc przyczynę tonów, i nieraz całemi godzinami przebiegał po klawiszach tych instrumentów, ciesząc się wychodzącymi bezładnie tonami, szczęśliwy jeżeli kilka z nich zgodnie się odezwało. Czując jednakże, iż bez pomocy ojca nie sobie nie poradzi, począł go błagać by mu udzielał lekcye muzyki, tak jak to z innymi chłopcami czynił. Ojciec, widząc w ośmioletnim synu tyle zamiłowania do sztuki muzycznej, zaczął go uczyć na klawikordzie, skrzypcach, tudzież śpiewać pieśni łacińskie na wszystkie obrzędy kościelne. Gdy Karolek mógł już przygrywać sobie do śpiewu i preludya improwizować, ojciec zaprowadził go do organu i kazał mu na tym instrumencie to samo wykonywać. Radość chłopca była niewymowną, ile że nogami nie mogąc dostać pedałów, bez nich obejmę się był zmuszonym. Zdolności jego do muzyki były ogromne; więc w cztery lata później do znacznego doszedł mechanizmu, a nawet bas cyfrowany z wielką łatwością czytał. Ośmielony pochwałami obcych i ufny w to co posiadał, dnia jednego oświadczył ojcu, że nie chce więcej być dla rodziców ciężarem, pragnie już na siebie pracować i chciałby gdzie zostać organistą. Zdziwiony takim syna postanowieniem, napróżno mu przekładał, że nie widziano jeszcze nigdy dwunastoletniego organisty, że piękna jest jego myśl żeby w tym wieku na chlę-

już sobie zarabiać, ale gdzie go dostanie, kto zechce przyjąć na tak ważną i nie dla każdego łatwą do pełnienia posadę, chłopca w tym wieku? Wszystko to jednak nie nie pomagało, silna wola Karola była niezmienna; dopóty męczył ojca, aż ten nareszcie, dowiadując się czyli gdzie niema stosownego miejsca, znalazł takowe w mieście Sarnowie, blisko Rawicza.

Objąwszy posadę organisty przy tamtejszym kościele, sprawował ją Karol z całym przejęciem się ważnością swego obowiązku, śpiewając i grając jutrznie, wotywy, a co niedziela, w czasie summy, na organie

ślał o zmianie swego losu. ani pragnął zgola innego. i bardzo być może, iż gdyby nie przypadek, o którym zaraz będzie mowa, przyszły twórca *Palacu Lucypera*, *Jadwigi* i tylu innych pięknych oper, zostałby przez całe życie ubogim i nieznanym parafialnym organistą. Wieluż to ludzi, z wielkimi nawet talentami, w ukryciu marnieje, nie mając sposobności rozwinięcia darów od Boga sobie danych, albo środków do ich ukształcenia!

Tak byłoby się może stało i z Kurpińskim, ale na jego szczęście, albo raczej dla dobra naszej narodowej muzyki dramatycznej, przyjechał niespodzianie z pod Lwowa wuj Karola, Roch Wański, wiolonczellista z powołania, w celu odwiedzenia dawno niewidzianego brata, ks. Karola Wańskiego, proboszcza w Sarnowie. W ślad za nim przybył także Jan Wański, dzielny skrzypek i głośny naówczas kompozytor wielu symfonij, mszy, a mianowicie polonezów, przez całe obywatelstwo wielkopolskie nadzwyczajnie lubionych. Wzięto się do muzyki. Roch na wiolonczelli, Jan zaś na skrzypcach różne piękne ówczesne utwory wygrywali. Jak tylko Karolek posłyszał wyborną grę wujów, o mało głowy nie stracił; pierwszy raz bowiem zdarzyło mu się spotkać tak wysoko utalentowanych artystów; a gdy Jan w kilka dni po swoim tamże przyjeździe skomponował na skrzypce i wiolonczellę trzy duety, i z bratem ślicznie je wykonał, w duszy młodego organisty tak silne powstało wzburzenie, że ledwie uspokoić się zdołał. Grywał on dawniej wprawdzie wiele duetów Pleyela na skrzypcach, ale w porównaniu z tém co teraz słyszał, było to tylko przykrém rzępoleniem; poznał dopiero jaka była rzeczywista wartość tych ruchawkowych orkiestr, z amatorów-mieszczan składanych. Ludzie przez cały tydzień oddani ciężkiej pracy, albo zajęci staraniem o wyszukanie dla siebie i swych rodzin środków utrzymania życia, wolne tylko chwile przeznaczając kościelnej muzyce, nie mogli być należycie do niej przygotowani; nie więc dziwnego, że niewprawne ręce smyczkiem po strunach wodzące, drapały niemiłosiernie uszy pobożnych w kościele słuchaczy, a dęte instrumenta wrzaskiem swoim zagłuszały głosy śpiewających. Zrozumiał dopiero teraz Karol, jak potrzebny i silny musi być urok orkiestry, gdy wszyscy jej członkowie wyłącznie muzyce się poświęcają, i gdy się składa z artystów utalentowanych a stosownie dobranych. Zbudzona ze spoczynku struna duszy jego, brzmiała tylko jednym tonem: szczerém pragnieniem oddania się muzyce orkiestrowej, jak gdyby wiedziona przeczuciem, że to jest pole, na którym działać ma z powodzeniem,



KAROL KURPIŃSKI.
Rysował Polkowski podług portretu Kokulana, rytował Styfl w Warszawie.

bas cyfrowany z orkiestrą. Około granic Śląska, niemieckim zwyczajem, każde prawie miasteczko ma swoje orkiestrę, złożoną z mieszczan a nawet i czeladzi rzemieślniczej. Co niedziela i w święta uroczyste schodzą się wszyscy grający do kościoła i wykonywają, jako kto może, msze święte. Młody nasz organista, dumny i szczęśliwy z udziału jaki brał w tych amatorskich-muzykach, przez dwa lata prawie ani pomy-

sobie na sławę, innym na pożytek. Już nawet wspomniały organ stracił dla niego powaby, skoro tylko pomyślał, iż wiecznie jedne i te same rzeczy ma na nim wygrywać, a wspomnienie amatorskiej orkiestry i poniżanie tego pięknego instrumentu do jej świątecznej posługi, dreszczem oburzenia go przejmowało. Odtąd zawód organisty stracił dla Karola wszelkie powaby, sprzyrzył go sobie i pragnął go porzucić.

W owe czasy wielu panów polskich utrzymywało jeszcze na swoich dworach liczne kapelle, albo muzyką kwartetową zabawiali się sami. Roch Wański, widząc iż jego siostrzeniec nie chce już dłużej być organistą, około 1800 roku wracając napowrót do Galicji, zabrał go z sobą, z myślą umieszczenia Karola w domu jakiego melomana. Jakoż starosta Feliks Polanowski, u którego Roch pełnił obowiązek wiolonczellisty, potrzebował do swego kwartetu sekundaryusza, i zaraz też przyjął ex-organistę na tę nową dla niego posadę.

Pan starosta, pomimo rozlicznych światowych zatrudnień, wielkim był miłośnikiem muzyki. Obywatele tamtejsi, w częstych zostający stosunkach ze stolicą państwa austriackiego, nabierali w Wiedniu upodobania do muzyki kwartetowej, do której znakomite utwory Haydna i Mozarta cały natenczas świat muzyczny zniewalały. Bywając często we Lwowie, Polanowski, skoro znalazł jaki piękny kwartet, przywoził go z sobą do domu. Tym sposobem Karol kształcił swój smak na najlepszych wzorach mistrzów klasycznej muzyki, rozwijając korzystnie talent, jakim natura go obdarzyła. Nieraz także starosta, widząc w nim niepospolite zdolności i zapal dla tej nadobnej sztuki, brał go z sobą do Lwowa, prowadził na teatr, gdzie bywała zawsze niezła opera, i tam to przyszył dyrektor opery polskiej zachwycał się utworami włoskich i niemieckich kompozytorów, a mianowicie opery: *Flet czarnoksiężki*, *Don Juan*, *Porwanie z seraju* Mozarta, *Cyrulik sewilski* Paisiello, *Matrimonio segreto* Cimarosa, *Camilla* Paera, największe na nim uczyniły wrażenie. Wzdychał Karol, ażeby choć jedną operę mógł w życiu swoim napisać. Ale cóż, znał tylko bas cyfrowany, czyli tak nazwany general-bas, a o instrumentacji ani wyobrażenia nie miał. W owym czasie nie było ani jednego dzieła mogącego dać jakiegokolwiek pojęcie o sposobie prowadzenia głosów wokalnych, lub o instrumentacji orkiestrowej. Młodzież terazniejsza nierównie jest szczęśliwszą pod tym względem, bo jeżeli nieznajomość obcych języków nie stoi jej na przeszkodzie, łatwiej życzenia swoje zaspokoić może; ale wtedy chcący iść po tej drodze, z trudnością mógł dostać przewodnika. Pragnął Kurpiński nabyć dla nauki jaką partyturę. Właśnie w jednym ze składów muzycznych spostrzegł święto z Wiednia sprowadzone dwie partytury na wielką orkiestrę ze śpiewami: *Stworzenie świata* Haydna i *Don Juana* Mozarta; ale wygórowana cena, dla zbyt szczupłych dochodów sekundaryusza kwartetowego, nie pozwalała mu ani myśleć o nabyciu skarbu tak pożądanego. Szczęście starosta Polanowski ułatwił Kurpińskiemu nabycie tych dwóch nieśmiertelnych partytur. Uradowany Karol śleczął nad niemi, o ile mu tylko czas i siły dozwalały.

Po niejakiem rozpatrzeniu się, mógł już sobie wyobrazić efekt niektórych ważniejszych ustępów i po swojemu je ocenić; zadziwiał go tylko, że Haydn i Mozart, chociaż obydwa Niemcy, tak mocno się między sobą różnili w śpiewie i instrumentowaniu. Ten i tamten wielki, do którego przystać? którego sobie za wzór obrać? U Mozarta śpiew powabniejszy, większe w nim uczucie i namietność większa, ale czasami nadto obciążony arabskimi architekturami orkiestrowej. U Haydna śpiew chłodniejszy, mniej w nim ognia i sentymentalności, ale za to koloryt instrumentalny jaśniejszy i form poważniejszych. Wahać się długo w stanowczem przeczuciu na jedną lub drugą stronę, praktyczny rozum młodzieńca w studyowaniu tych dzieł umiał jednak, co było w nich najkorzystniejszego, przyswoić swę naturze; później zaś, pomiędzy 1802 a 1803 rokiem, bywając często u poddaszego Czackiego, którego syn Feliks zapalonym był zwolennikiem włoskiej muzyki, miał sposobność poznać kilka oper najzawołanych mistrzów tej szkoły w partyturze, a nawet razu jednego, w czasie pewnej uroczystości rodzinnej, gdy sami członkowie rodziny wykonali *Cyrulika sewilskiego* Paisiello, Kurpiński pierwszy raz w życiu dyrygował muzyką, bo miejscowy dyrektor orkiestry musiał grać rolę notaryusza w tej operze.

Z dniem każdym w przeznacnym domu starostwa Polanowskich nabierał Kurpiński coraz wyższych wyobrażeń o muzyce, pracując sumiennie i troskliwie nad wzbogacaniem swę wiedzy. Przyszedszy do niezwykłego władania technicznymi zasobami sztuki, a utraciwszy w jednym tygodniu wuja swego Rocha,

który jak drugi ojciec czuwał nad Karolem, i starostę Polanowskiego, który przez lat ośm nie przestawał go zaszczycać przyjazną opieką, nie miał już co robić w opustoszałym i żalobą okrytym domu; przeniósł się więc jako nauczyciel fortepianu na dwór baronostwa Rastawieckich. Dopiero po krótkim tamże pobycie, na początku 1810 roku szczęśliwa gwiazda Kurpińskiego przywiodła go w mury Warszawy.

Odtąd więc, to jest od 1 lipca 1810 roku, w którym to dniu Bogusławski Wojciech, ówczesny przedsiębierca teatru, ofiarował mu posadę dyrektora opery miejscowej, poczyna się czynne i pracowite życie tego człowieka na niwie sztuki krajowej. Kurpiński, nie poprzestając na samém uczeniu śpiewaków i prowadzeniu orkiestry, zapragnął zaraz przysłużyć się scenie własną kompozycją; jakoż w rok niespełna napisał operetkę do słów tłumaczonych z francuzkiego przez Dmuszewskiego, pod tytułem: *Dwie chłki*. Powodzenie jej, lubo skromne, zachęciło Kurpińskiego do spróbowania czegoś większego; zniósłszy się przeto z wybornym podówczas komicznym artystą Żółkowskim (ojcem dzisiejszego ulubieńca sceny warszawskiej), ułożył muzykę do treści przez tegoż z francuzkiego naśladowanej i zadziwił ziomków swoich operą *Pałac Lucypera*. Przybył wtedy właśnie (15 października) Król Saski do Warszawy. Monarcha ten, znający się dobrze na muzyce i posiadający na dworze swoim w Dreźnie od dawnego bardzo czasu doskonałą operę włoską, gdy się dowiedział, że nowa opera przez Polaka została skomponowana, ciekaw był ją poznać i oświadczył chęć znajdowania się na widowisku. Drugi raz dopiero dawano *Pałac Lucypera*; publiczność warszawska, lubo dobrze przyjęła to dzieło, ile że przez miejscowego kompozytora napisane było, z pewnym rodzajem niedowierzania podziwiała talent twórcy Kurpińskiego; aż gdy ujrzała jak dostojny monarcha, uderzony i zachwycony pięknościami niektórych ustępów dzieła, szczeremi oklaskami objawił zadowolenie, śmielej poddała się uniesieniom, chlubiąc się ziomkiem tak wysoko utalentowanym. Opera ta, na rozkaz króla saskiego, przetłumaczoną została na język włoski, a wyjeżdżając z Warszawy, zabrał ją z sobą monarcha do Dreznia, by tam mogła być wystawioną, obdarzywszy jej twórcę kosztownym brylantowym pierścieniem.

Zachęcony na pierwszym zaraz kroku tak świetnym powodzeniem, zyskawszy ufność i wiarę w swój talent rodaków, od tego czasu począł już ciągle dla sceny krajowej pracować. W r. 1814 wystawił operę w dwóch aktach pod tytułem *Szarlatan*, do której treść układał także Żółkowski, a którą na wzór włoskich oper *buffo* skomponował. Tegoż samego roku jeszcze napisał operę: *Easka Imperatora*, przerobioną z Kotzebuego przez Dmuszewskiego, tudzież *Królowę Jadwigę* do słów wierszem Niemcewicza, okazała wystawioną i z wielkim zapalem od publiczności przyjętą 23 grudnia.

W roku 1815 Kurpiński zawarł związki małżeńskie z panną Zofią Brzowską, utalentowaną artystką dramatyczną. Czuwając z całą sumiennością nad dobrem i pomyślnością opery polskiej, pracował nad artystami, kształcąc ich w muzyce, a od czasu do czasu nowemi utworami wzbogacał repertuar sceny naszej. I tak: dnia 7 marca 1815 roku, na benefis śpiewaczki pani Dmuszewskiej, wystawił operę w jednym akcie *Aleksander i Apelles*, ze słowami wierszem napisanemi przez Dmuszewskiego. Dnia 15 marca 1816 roku do osnowy tegoż autora *Mala szkoła ojców*. W tym samym roku *Nowe Krakowiaki* w dwóch aktach, słowa wierszem Jana Nep. Kamińskiego, i *Dziadek*, operetkę w jednym akcie, tekst Osńskiego. W ciągu roku aż trzy nowe opery, nie licząc w to melodramatu *Hero i Leander*, do którego także Kurpiński muzykę układał. Niebawem wystawił znów (r. 1817) nową operę w dwóch aktach, ze słowami Niemcewicza, *Jan Kochanowski*, w 1818 r. *Czaromysł*, a w rok później skomponował muzykę do treści Józefa hr. Krasieńskiego, *Zamek na Czorsztynie*.

Zdumieni ziomkowie twórczością tak obfitą, wielbiąc piękne pomysły muzyczne niespracowanego kompozytora, wybili na jego cześć medal z popiersiem Kurpińskiego, który mu w dniu 11 maja 1819 roku z następującem pismem wręczyli:

„Miłośnicy muzyki, oceniając piękne twory harmonii współrodaka, p. Karola Kurpińskiego, dyrektora opery teatru narodowego, postanowili dać mu tego dowód uroczysty. Nagrody i zachęcenia należą do rządu, lecz do nich prowadzi tylko szacunek publiczny sprawiedliwie zasłużony. Pan Kurpiński ma do niego niezaprzeczone prawo, tak przez wrodzony sobie talent, który tak powabnie okazuje się w licznych jego płodach, jako też przez osobistą skromność, która jest rękomią dla publiczności, iż nigdy miłość własna nie zatrzyma go na drodze stopniowego doskonalenia się.

Przyłączony medal, wybity na uwiecznienie pamięci, ile pan Kurpiński był ulubionym dla słuchaczy, powinien mu przypominać ustawnie tę prawdę: *iz te tylko przymioty, które wzbudzają przychylnie uczucia współczesnych, mogą jedynie zapewnić szacunek w potomności.* — W Warszawie dnia 11 maja 1819 r.

Następują podpisy najznakomitszych w kraju osób, jako to: Stanisława Potockiego, Jul. Urs. Niemcewicza, księżny Zajaczkowej i wielu innych.

Fakt ten jest najoczywistszym dowodem, jak wówczas ceniono prace Kurpińskiego. Niesosyć na tém, tego samego roku, dnia 23 listopada, mianowany został z woli Najjaśniejszego Pana mistrzem kapelli dworu królestwa polskiego.

Zachęcony tak świetnemi dowodami uznania zasług swoich, Kurpiński nie przestawał z coraz większą gorliwością pracować dla muzyki krajowej. Czując konieczną potrzebę rozszerzenia pomiędzy publicznością zdrowych pojęć o sztuce muzycznej, w 1820 roku zaczął wydawać pismo peryodyczne *Tygodnik muzyczny*; lecz dla braku prenumeratorów, niewiele jeszcze usposobionych do czytania podobnej treści pisma, w rok przestało ono wychodzić.

W roku 1820 napisał nową operę w dwóch aktach, pod tytułem *Kalmora* (słowa Brodzińskiego); następnie drugą, *Leśniczy w puszczy kozienickiej*, a ostatniem jego dziełem większego rozmiaru była opera w dwóch aktach (wierszem przez Dmuszewskiego), *Cecylia Piaseczyńska*. Utwór ten wystawiony był po raz pierwszy dnia 31 maja 1829 roku.

Zwierchność ówczesna, troskliwa o rozwój i pomyślność opery miejscowej, na mocy upoważnienia księcia namiestnika królestwa z dnia 3 marca 1823 r., wysłała Kurpińskiego za granicę, w celu zwidzenia znaczniejszych w Europie teatrów, aby tym sposobem wszelkie ulepszenia jakie tam spostrzeże, z korzyścią zastosować mógł do sceny krajowej. Wróciwszy po ósmiomiesięcznej podróży do Warszawy, zajął się zaraz wystawieniem najznakomitszych oper Rossiniego, Webera, Auber'a i wielu innych. W r. 1834, z polecenia ówczesnego prezesa dyrekcji teatrów, urządził Kurpiński szkołę śpiewu i dnia 1 stycznia następnego roku rozpoczął obowiązki dyrektora i nauczyciela takowej. Przewodnicząc gorliwie i sumiennie wykładowi nauk, nie szczędząc opieki i rad kształcącej się w niej młodzieży, w lat parę miał pociechę przedstawić sądowi publicznemu uczniów swoich, którzy we wznowionej operze *Włoszka w Algierze*, wykonanej 17 czerwca 1837 r., pozyskali jaknajlepsze przyjęcie, zabezpieczające na długo przyszłą pomyślność opery naszej. (*)

Oprócz powyżej wymienionych oper, kompozytor ten zostawił wiele innych utworów muzycznych, jako to: sześć melodramatów, jedną komedyo-operę, dwa balety, trzydzieści polonezów i znaczną liczbę śpiewów kościelnych.

Liczny szereg prac Kurpińskiego, w który wchodzi i kantaty ułożone na rozmaite uroczystości, zamykają *Szkoła na fortepian* i *Zasady harmonii*, dla naukowego pożytku współziomków wydane u Klukowskiego. *Zasady harmonii*, powtórnie w inny sposób ułożone, wyszły w 1844 roku u Sennewalda, a *Szkoła na fortepian*, pierwotnie w 1818 r. wydana, doczekała się aż czterech edycji, za każdym razem stosownie poprawionych. Choćby tylko na tę jedną pracę zdobył się Kurpiński, już tém samym zasłużyłby sobie na wdzięczność rodaków.

Życiem tak czynnem a dla sztuki naszej pożytecznem osłabiwszy zdrowie swoje, uczył Kurpiński konieczną potrzebę wypoczynku, po trzydziestoletnich przeszło bezustannych trudach. W roku więc 1840 podał się do dymissyi i otrzymał emeryturę, a żyjąc jeszcze lat 17 w cichęj ustroni, śledził ze współczuciem postęp muzyki, do ostatniego tchnienia troskliwy o losy opery naszej, którą własną ręką przez lat tyle piastował, ciesząc się niewymownie z każdego faktu, przynoszącego chlubę na tém polu krajowi. Umarł 18 września 1857 roku.

Z publicznych składek, zebranych za pośrednictwem Józefa Sikorskiego, redaktora *Ruchu muzycznego*, w r. 1858 stanął na Powązkach na grobie Kurpińskiego pomnik, z napisem: *Karolowi Kurpińskiemu, kompozytorowi i dyrektorowi opery polskiej i t. d.*

Kronika tygodniowa.

Ratujcie mnie, czytelnicy, bo jestem zgubiony. Przypominacie sobie zapewne, że w jednej z moich

(*) Po bliższe w tym względzie szczegóły odsyłamy czytelnika do „Rysu historycznego opery polskiej“ Maurycego Karasowskiego.

poprzednich kronik ośmieliłem się zwrócić uwagę na niewczesne postępowanie żałobników warszawskich, którzy przyzwyczajeni do stoickiego zapatrywania się na rzeczy tego świata, niezrażeni ani płaczem, ani rozpaczą, nie zaniebują u najbliższych krewnych zmarłego upominać się o dątkę na piwo, utrzymując że trumna była ciężka, fatyga wielka i t. d. i t. d.

Ani przewidziałem jak srogą te kilka słów, nawiasem wyrzeczonych, wywołają na mnie burzę.

Widocznie cała pogrzebiczna służba zawrzała straszonym gniewem.

Otrzymałem kilka ostrzeżeń ustnych, kilka listów bezimiennych, z których jeden przytaczam.

Szanowny panie kronikarzu!

Zamiast dawać niewinne sprawozdania z faktów ubiegłego tygodnia, co jest twoim obowiązkiem, wziąłeś się, żeby zaczepiać ludzi na prawo i na lewo. Ale nie ujdzie ci to bezkarnie. Napisałeś niegodną szykanę na żałobników warszawskich; wiedzę o tym że wszyscy żałobnicy, do których grona i ja mam zaszczyt należeć, są na ciebie rozbrojeni. Poprzysięgliśmy zemstę. Krótko mówiąc, nie radzę ci w tych czasach umierać, bo mogę ci ręczyć, że w takim razie trumna twoja na karawanie jaknajgorzej zostanie umieszczoną, i będziesz mógł się uważać za szczęśliwego, jeżeli w drodze w śnieg się nie wywrócisz. A w każdym razie karawan będzie szedł po najgorszych wybojach, żebyś się przynajmniej utrzął, co nie pójdzie ci na zdrowie. Więc radzę ci, jeżeli pragniesz trochę wygodniej na tamten świat powędrować, żebyś odwołał złośliwe słowa swoje i starał się nadal nie uwłaczać ludziom poświęcającym się dla dobra ludzkości umarłym.

Żałobnik warszawski.

Inne listy mniej więcej te same były treści.

Cóż mam na to odpowiedzieć?

Oto że będę się starał jaknajpóźniej umrzeć, żeby uniknąć grożącego mi niebezpieczeństwa, a w każdym razie odemszczę się po swojemu, bo w testamencie napiszę, żeby po moim pogrzebie żałobnikom ani groza na piwo nie dano. A w kieszenie każę sobie nakłaść kamieni, żeby trumna była cięższą. Zobaczmy kto na tamten gorzej wyjdzie.

Żniwo śmierci ciągle obfite, kartek pogrzebowych mnóstwo, i dziwić się temu należy, że to następuje właśnie w czasach, w których tyle dla zdrowia ludzkiego robią.

Bo ile obecnie pojawia się tych środków ubezpieczających zdrowie, trudnoby było wyliczyć.

Weźmy na los szczęścia kilka nowych ogłoszeń.

Dla mężczyzn higieniczne kaftaniki i koszule z flaneli, dla dam higieniczne gorsety, dopomagające do rozwoju kibici i ułatwiające oddychanie.

Czokolada zdrowia, kawa zdrowia, rakahu arabskie, higieniczne kielbaski niemieckie i najhigieniczniejsze sosy angielskie, ostre, dopomagające trawieniu.

Łańcuszki galwaniczne, bransoletki i pierścionki magnetyczne, pióra elektryczne, któremi pisze się rozumnie i zdrowo jest pisać.

Higieniczne podeszwy do butów i trzewików, strzegące od wszelkich przypadłości kataralnych.

Pomada zdrowia, blansz i róż higieniczny, wszelkiego rodzaju olejki i maści uzdrawiające i odmładniające.

Higieniczne krynoliny, przechowujące w sobie zapas świeżego powietrza, chociaż trudno sobie wytłumaczyć, na co ten zapas ma służyć, bo przecież krynolina z oddychaniem żadnej niema łączności.

Higieniczne cygara, oczyszczające powietrze z zepsutych piérwiastków.

A gimnastyka, a szpilkowanie, a hydropatya, a homeopatya, i kamfora, i kantarydy, i chloroform, i pigułki Morysona, i pastylki różnorodne, i eliksyr na wszystkie słabości, a jasnowidzenie, a hypnotyzm, elektrobiologia, odon i t. d. i t. d. i t. d.

Jakim sposobem, przy tylu środkach zachowawczych, ludzie umierają, sam sobie tego wytłumaczyć nie mogę.

Ale... zapomniałem o higienicznych billardach i higienicznym preferansie, bo i te mają swoich zwolenników.

Że już nie liczę wód i kąpieli zagranicznych i higienicznych autorów, bo przecież i takich znajduje się u nas niemało. Cóż jest zdrowszego nad sen, a czytając wiele rzeczy świeżo wyszłych, można być pewnym łatwego śnienia.

Nie chcę się dalej rozpisywać w tym przedmiocie, lękam się bowiem, ażeby dzisiejsza moja kronika za bardzo na zdrowie nie poszła czytelnikom.

Ogromne zasypy śniegu utrudniają zewsząd komunikacje. Skarżę się na niedochodzenie depesz telegraficznych; kolej żelazna codziennie prawie opóźnia się, a zdarzają się miejsca, gdzie i dwie lokomotywy nie poradzą i pociąg stanąć musi.

Ten właśnie przypadek przytrafił się zeszłego tygo-

dnia licznemu bardzo pociągowi, odchodzącemu ze Skierniewic. Na kilka wiorst tak wielkie zasypy śniegu zawałyły drogę, że chcąc nie chcąc trzeba było się wrócić, i to na saniach, jak kto mógł, a nawet niektórzy pieszo. Wyszło to na dobre bufetowi skierniewickiemu, bo młodzież, porobiwszy pomiędzy sobą składki, obstałowała wieczrę, zaproszono należąc do pociągu damy i rozpoczęła się zabawa. Naturalnie wszyscy pozostali tak jak byli, w ubiorze podróżnym; niemniej przeto bawiono się wybornie i bardzo wesoło, jak to zwykle bywa, gdy zabawa jest niespodziewana. Kiedy zaczęło się rozwidniać, zajechały sanki mieszczańskie, chłopskie i t. d., obstałowane przez gospodarzów zabawy; damy powsiadały na te zaimprovizowane ekipaże, i porojeżdżano się do domów.

W jednym z tutejszych pism czytamy doniesienie następujące:

„Wyszła z druku broszura pod tytułem: „Nowy sposób wyrabiania piwa z kartofli, melasu i jałowcu, które to postępowanie dostać można w kopertach za rs. 5 w księgarni S. H. Merzbacha, gdzie owa broszurka jest w komis złożoną.“

Ciekawym co na to powiedzą ci, którzy się skarżą na drożym księżek u nas, którzy znajdują że dzieła najznakomitszych naszych autorów sprzedają się po cenach nieprzystępnych. *Pięć rubli* za broszurkę wprowadzie zakopertowaną, ale obejmującą zaledwie kilkadziesiąt stronni druku, czyliż to nie jest spekulacją do najwyższej już naciągniętej miary?

W ogóle nie jesteśmy przyjacielni wszelkich tego rodzaju dziełek *zakopertowanych*, a pojawiało się ich kilka u nas, jak *Sposób robienia majątku*, *Odkrycia jakichś nowych sposobów fotograficznych* i t. d.

Nie jest to wcale ubezpieczeniem dla autora, jeżeli idzie mu o zachowanie tajemnicy swojego wielkiego wynalazku, bo każdy co sobie jego dziełko kupi, staje się już panem tej tajemnicy i może według woli zakomunikować ją drugim. Chociaż nie zda się to na nic, bo zwykle tego rodzaju zakopertowane i zaklejane książeczki (nie mówię tego o *Sposobie robienia cukru z melasu*, bo dziełka tego nie czytałem, a zresztą choćbym odważył się wydać żądane pięć rubli, nie mógłbym o wartości jego sądzić, bo nie znam się na tém), takie mówię książeczki zwykle są niegodnym wydrwiwaniem pieniędzy, a zawarte w nich tajemnice, służą jedynie do nadużycia dobrej wiary tych, którzy się na nie załakomią. Spekulacja ta, jak wiele innych podobnego rodzaju, przyszła do nas z Niemiec, i załujemy że nie możemy tym naszym cywilizatorom odesłać napowrót tych wszystkich dobrodziejstw, któremi nas zarzucają.

Jeżeli autor sposobu robienia piwa z melasu, pragnął korzystać ze swojego wynalazku, który zapewne oddawna już jest znany za granicą, to znajdują się przecież na to odpowiednie środki, bez uciekania się do sprzedaży broszurki po 5 rs. Wszakże tyle znakomitych odkryć ogłaszają teraz w całej Europie w różnych dziełach naukowych, a nie widzimy żeby mężowie uczeni, poświęcający nieraz ciężkiej pracy całe życie swoje, nakładali tak szalone ceny na swoje książki prawdziwej i uznanej wartości. Odkrycie sposobu robienia piwa z melasu, jest wprawdzie znakomitą dobrodziejstwem dla społeczeństwa naszego, ale możemy nieznanemu dobroczyńcy przytoczyć wiersze pisane na panią Katalani, kiedy przebywając w naszym mieście nałożyła zbyt wysokie ceny na dawane przez siebie wokalne koncerty:

Mościła pani Katalani!
Racz zaśpiewać trochę tanięj,
Bo za twoje tra, ra, ra, ra,
Duszę będzie i talara.

Rozpisałiśmy się szeroko nad tym stosunkowo drobiazgiem, znajdujemy bowiem, że tego rodzaju fakta nie powinny być pominięte milczeniem, ale owszem publicznie wytykane i karcone.

Inne, niemniej ciekawe ogłoszenie zdarzyło nam się w tych dniach napotkać.

„W przejeździe do Warszawy, między Serockiem a Warszawą, zginęła torba skórzana, a w niej w woreczku płóciennym w paski 26 sztuk półimperyalów w złocie! dukat francuzki dwudziestofrankowy, dukat węgierski z matką Boską, co było w rulon zwinięte, pięćdziesiątówkami w srebrze sztuk trzydzieści!!! rublami w srebrze sztuk czterdzieści!!! i drobnymi sztukami dwudziestu, oraz dwudziestu pięć kopiejkowymi około rubli srebrnych dwunastu!!! i t. d.“

Dla uczciwego znalazcy, oprócz wdzięczności, oznaczono nagrody rub. sr. 15, nie wiem już jakimi pieniędzmi, ale wątpię żeby w złocie albo w srebrze.

Ten pan musiał chyba z Kalifornii wracać, chociaż wątpię ażeby ztamtał drogą do Warszawy przez Serock wypadła. Jaktó, właścicieli tylu nieocenionych skarbów, miałeś to wszystko zawinięte w owym szanownym woreczku, i poważyłeś się uronić ten woreczek na

prostej drodze zwirowej, prowadzącej z Serocka do Warszawy?

To mi przypomina, że przed kilką laty jakiś obywatel zgubił kilkanaście tysięcy złp. w papierach bankowych. Pospieszył ogłosić swoją stratę w pismach publicznych, wyznaczając tysiąc złotych nagrody dla znalazcy.

I w istocie zjawił się jakiś poczciwiec, który odniósł sumę znalezioną. A był to biedak w całym znaczeniu tego wyrazu, odarty, obszarpany; widać jednak że pod temi łachmanami poczciwie było serce. Obywatel nasz odebrał pugilares, przeliczył pieniądze i wydobywszy z kieszeni 2 złp., wyraźnie dwa złote, oddał je znalazcy.

— Jaktó, zawołał ten ostatni, przecież pan w swoim ogłoszeniu obiecywałeś tysiąc złotych znaleźnego.

— Może być, odrzekł właściciel pieniędzy, ale daję tobie teraz dwa złote, mój przyjacielu, jedynie z moralnych pobudek.

— I mogę wiedzieć jakie one są?

— Jest to fundusz na stryczek dla ciebie, powinieneś się bowiem powiesić z rozpacz nad swym głupstwem, że będąc ubogim i mając tak znaczną sumę w ręku, nie zachowałeś jej dla siebie.

Trzeba wiedzieć że obywatel ów znany był ogólnie jako trudniący się lichwiarstwem, na bardzo wysoką stopę.

O śmierci Hanki wspomniały już gazety. Skon tego uczonego obchodzi Słowiańszczyzną całą.

Należy się także od nas parę słów wzianki przekładowi Xenofonta Hippiki i Hipparcha, czyli jazdy konnej i naczelnika jazdy, przez Bronikowskiego. Zasluga uczonych prac p. Bronikowskiego tém większa, im mniej w obecnych czasach cenioną bywa przez ogół. Wszystkie znakomitsze literatury europejskie posiadają dokładne i kompletne tłumaczenia autorów starożytnych, a nam pod tym względem wiele, bardzo wiele jeszcze nie dostaje. Pan Bronikowski, zaradzając temu brakowi, robi ofiarę z czasu i pracy, a prawdziwe poświęcenie zysków materialnych, wiadomo bowiem jak tępo u nas idzie rozprzedaż tego rodzaju nakładów. Bogdajby Hippika i Hipparch stanowią wyjątek, a zasługuje na to, bo znajdują się tam rzeczy mogące zająć tę nawet część dzisiejszego pokolenia, która się wcale naukom, zwłaszcza starożytnym, nie oddaje.

A teraz, ponieważ reklama weszła w modę, zamierzam i ja z nią wystąpić. Może mi się uda zwabić kogo; tém lepiej, bo to interes dobry, w całym znaczeniu tego wyrazu.

Zamek szydlowiecki sprzedają za 2000 rs. Sprzedają ta, ogłoszona już w grudniu r. z., spelzła na niczym; obecnie drugi raz ponawiają ogłoszenie i razem z zamkiem można nabyć wieczyste wydzierżawienie kępy, na której zamek stoi, przestrzeni Zwierzyniec zwanej, oraz młyna wodnego i rybołówstwa.

Zważcie teraz sami: dwa tysiące rubli, to tak drobna stosunkowo summa, że jeden wesoło przepędzony karnawał, albo miesiąc podróży za granicą dla zamożnej rodziny tyleż prawie wyniesie. Nie jeden, nie dziesięciu, nie stu nawet w kraju naszym znajduje się takich, którym te dwa tysiące rubli bardzo małą względnie uczynią różnicę, a szkoda było, żeby ten zamek dostał się w ręce jakiego spekulanta, któryby do reszty rozebrał starożytne owe mury, dla nędznych zysków na materyale.

Niewiadomo nam w jakim ten zamek jest stanie, nigdy go bowiem nie widzieliśmy, ale zdaje się że kiedy tyle tam pozostało jeszcze materyału, że aż 2,000 rs. go cenią, mury z łatwością dałyby się podnieść, zwierzyniec przyprowadzić do dawnego stanu, i zamek szydlowiecki stałby się mógł pięknym bardzo mieszkaniem dla zamożnego nabywcy.

Niebrak zapewne w tamtejszym sąsiedztwie obywateli, którzy potrafią uszanować świętość rodzinnych pamiątek; do nich więc głównie stosuje się dzisiejsza moja odezwa.

Zresztą tydzień ubiegły był dość cichy pod względem wypadków miejskich. Na trzecią maskaradę zebrało się tysiąc amatorów tej zabawy. Miało miejsce kilka ślubów, śniegu coraz więcej zbiera się na ulicach, mróz trzyma po dawnemu, a pomimo tego czytamy ogłoszenia o wielu futrach na sprzedaż, co dowodzi że są tacy, co pragną się hartować... z potrzeby. Kupcy skarżą się na mały ruch handlowy, zwłaszcza zbyt kownych towarów, na co my żadnym sposobem zaradzić nie umiemy, a po cyrkulach warszawskich zbierają się składki na drzewo dla ubogich, które, jak dytychczas przynajmniej, dobry względnie przynoszą rezultat.

A potrzeba miłosierdzia, potrzeba go wiele, bo nędzarzy u nas niebrak.

I gdybyż tylko pieniędzmi dało się tej nędzy zaradzić!

WIEŚNIACY Z LUBELSKIEGO.

Podajemy w trzech drzeworytach wieśniaków z okolic Krasnegostawu i Chełma, w ubiorach świątecznych.

Nr. 1 przedstawia przybyłe w niedzielę na nabożeństwo do kościoła grono. Ubiór mężczyzn stanowi: kapota ciemno-brunatna, mankiety, kołnierz i kłapa niebieskie; na tém wyszycia włóczkowe zielone z czerwonym. Szczególność ta jest w tym ubiorze, że kłapę mają jedną tylko, druga zaś strona jest gładka, i dlatego się na jedną stronę zawsze zapinają. Czapki noszą podobnie jak w Krakowskiem zwykle furmani, wełniane, okrągłe, równe niemal od dołu do góry, które zwą po dawnemu *magierkami*. Pas szeroki, skórzany, zapinany z przodu. Latem noszą tymże krojem kapoty płócienne. Ubiór kobiet zamężnych składa

Mężczyźni używają, prócz czapek, kapeluszy, tego kształtu jak widzimy na drzeworycie, buty zaś, z długimi po kolana zwykle cholewami, zakupują od szweców ze starożytnego miasta *Turobina* (*), którzy wielce swój towar rozslawili pomiędzy włóścianami tutejszych okolic.

Nr. 2. Rusini z okolic Chełma: jest to toż samo pokolenie, które zamieszkuje osady w starém Podlasiu naszym, poza Siedlcami, aż do Buga. Język ich zbliżony tak dalece do polskiego, że Mazury z Rusinami rozmawiają swobodnie, rozumiejąc się doskonale nawzajem. Godnym to jest uwagi, że pomimo pomieszania osad muzurskich z ruskiemi, gdy Rusin mówi po polsku, to używa mowy najczystszej i pięknie się wystawia, nie zacinając wcale z mazurska.

Drzeworyt przedstawia Rusinów zebranych w gro-

go na plecy. Dziewczeta chodzą z golemi głowami i do późnej jesieni przystrajają włosy w kwiaty polne.

Lud ten, mniej rzecki jak sąsiedni Mazurzy, odznacza się w pieśniach swych i melodyach szczególnym smutkiem i rzewnością. Kiedy przy żniwie, na okrzężnem lub dożynkach, słyszysz zdala śpiew ich, to melodia tak tęskna, jakby korowodu żalobnego. Rzadko między mężczyznami znajdziesz czerstwego, rumianego parobczaka: cera w ogóle blada albo żółtawa, co przypisują zbytniemu używaniu kwasów. Za to pomiędzy wiejskimi dziewczojami łatwo napotkać świeże, rumiane i prawdziwie piękne. Wdzięki ich wszakże krótko trwają: ciężka praca w polu i w stodole (bo tutaj kobiety młocą zboże), niszczy rychło ich krasę; w trzydziestym roku u Rusinek już zmarszczki występują na oblicze, bruzdy wyorują czoło, i niewiasta



WŁÓŚCIANIE Z OKOLIC KRASNEGO STAWU. (rysował z natury Polkowski, rytowano w drzeworytni Tygodnika).

kapoty sukienne lub płócienne, zwane także *żupanami*, tegoż kroju i barwy jak u mężczyzn; na głowie chustka biała lub kolorowa, ze zwieszonymi w tył dwoma końcami, z opięciem od wieków starannie zachowywanem.

Ubiór młodych dziewcząt staranny i malowniczy. Głowy przystrajają kwiatami, które rozehodząc się od warkocza w kształcie wieńca, kończą się z boku na skroniach, nie zasłaniając czoła. Włosy, gładko uczesane, spadają na plecy w jednym warkoczku, zaplecionym składnie i zakończonym wstążką kolorową. Koszula i spódnica biała, na tém rańtuch płócienny biały, na jedném ramieniu zawieszony, końce zaś, okalając zgrabnie figurę, zwieszają się do kolan z dwóch stron. Szyję zdobią w korale lub paciorki bursztynowe; pończochy białe i trzewiki czarne bez korków uzupełniają strój cały.

madę, w celu wynajęcia się do żniwa. Zwą ich wtedy, jak wszędzie u nas takich najemników, *bando-chami*.

Postacie ich i oblicza różnią się od innych wieśniaków ruchem, rysami, i wyrazem; różnią się też wielce i ubiorem.

Żupan brunatny, krótki po kolana, kołnierz prosty, zapięty w jeden rząd na przodzie na guziki rogowe, z tyłu więcej faldzisty; na nogach chodaki z kory lipowej. Kobiety zamężne noszą także same żupany, nogi bose lub w chodakach, warkocz splecione i zwinięte na wierzchu głowy, przykryte jakby małym przetakiem, który po wierzchu pokrywa się białą chustą, związaną z przodu na rogi, a jeden koniec spada dłu-

w siłę wieku, złamana pracą i ubóstwem, zaczyna przechodzić w zgrzybiałość.

Ruś, tegoż rodu, charakteru i języka, obejmująca nasze Podlasie i Hrubieszowskie, przeciąga się do Galicji i stanowi tam tak zwaną *Ruś czerwoną*. Zaludnienie okolic Krasnegostawu i Chełma sięga odwiecznych czasów; ziemia chełmska stanowiła w dawnej Polsce część województwa ruskiego.

Nr. 3. Wieśniacy zebrani w gromadę ze wsi Fajslawice, po kościelnem nabożeństwie, zajęci rozmową, przygotowują się do ochoty i zabawy w niedalekiej karczynie. Na ciele stoi młoda dziewczyna, przy której dziarski parobczak, wpatrując się w jej oblicze, trzyma rękę na jej ramieniu, drugą podparł się pod bok, i widać coś miłego szepcze, bo dziewczyna słucha z uwagą. Przy niej sędziwa matka, włożywszy ręce w kieszenie kapoty, z uśmiechem spogląda na parob-

(*) Miasto już za Władysława Jagiełły wspomiane, o mil szesć od Zamościa, w powiecie krasnostawskim położone.

czaka. Z drugiej strony, na kamieniu, oparta plecami o płot, siedzi sędziwa babka, której lata zbrzdrowały czoło i twarz pomarszczyły. Żupan ma otwarty, z pod koralu spada na jej piersi wielki szkaplerz poświęcany. Za nią stoi gromada młodych parobczaków i dziewcząt. Ubiory też same co w poprzednim drzeworycie; ta tylko uderza różnica w zawiązaniu głowy u kobiet zameżnych, że końce chustek użytych do przystroju, nie spadają na plecy, ale ukrywają się pod samym związaniem przy głowie.

Tadeusz Czacki.

(Dokończenie.)

Wezwany do współdziałania Czacki, po przekonaniu się naocznie o stanie kraju i szkół, osądził, że potrzeby umysłowe kraju są większe niż im mogą zaradzić środki niegdyś przez kommissyą edukacyjną podane. Ustawy kommissyji rzeczonj, w swoim czasie, wyprzedziły podobne ustawy u innych narodów europejskich, lecz właśnie dlatego że były wcześniejsze, zawierały w sobie niektóre wady organiczne, co jeszcze za trwania kommissyji zaczęły rozpręgać jej budowę. Wypadki nie dozwoliły wad naprawić, przytęm świat ówczesny żył tak prędkiem, gwałtownem życiem, że przez ostatnie lat dziesięć zaszedł daleko, potrzeby społeczne i pojęcia zmieniły się, poprawa zatem była niezbędną. Czuli to Czacki jasno, ale mógłże

ję się spodziewać od uniwersytetu, którego wydział, rozciągając się od morza bałtyckiego do czarnego, wyrównywał wielu obszernym królestwom? Szkoła główna wileńska, choćby i rozplonęła jasnym światłem, promienie jego z trudnością mogłyby dola-

myśl nie uległa się trudności. W ukazie do rządzącego senatu z dnia 24 stycznia 1803 roku względem urzędzenia nauk i szkół w państwie rossyjskiem, w rozdziale III, § 48 wezwani zostali „wszyscy dobrze myślący obywatele do wspierania zamiarów rządu

przez patriotyczne dary i ofiary“. Na tę ogólnem wezwaniu oparł się Czacki i chociaż szczegółowa organizacja szkół już 18 maja 1803 r. zatwierdzoną została i całe dzieło jakby ostatecznie ukończono, on jednak chciał przez to rozumić: że dana organizacja ma służyć na ten tylko wypadek, gdy obywatele nie przyjdą w pomoc rządowi swemi ofiarami; przeciwnie zaś, jeżeli złożą potrzebny fundusz, nauki w szkołach rozszerzone zostaną, odpowiednio do potrzeb krajowych. Zamyślił tedy zebrać fundusz i rozszerzyć zakres nauk według własnego planu. Lecz jak sam mówi „wyznaczony do urzędzenia szkół, poszedłem w nieznaną sobie drogę; oddawałem się niewielu naukom, a teraz mi badać wszystkie przychodzi; uczylem się sam, przypad-

kowo, a teraz mam stanąć o systemacie nauk.“ Trudne było zadanie, ale szczęściem tuż pod ręką znalazł się człowiek, najzdolniejszy wtedy w kraju dać mu pomoc potrzebną. Byłto niegdyś wizytator, przekształcił i rektor akademii krakowskiej, sławny podkanclerzy ks. Hugo Kołłątaj. Po różnych kolejach i burzach życia, osiadł w Stołpcu niedaleko Krze-



RUSINI Z OKOLIC CHEŁMA. (Rysował z natury Polkowski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)

tywać do oddalonych prowincyj, powierzonych Czackiego wizycie. Nadto jeszcze uniwersytet może aż do zbytku hojnie był uposażony, a reszta szkół zostawiona w polepszonej tylko mierności; aby i one podniosły się i postąpiły, potrzeba było bliższego dla nich oka i hojniejszej ręki. Być takiem okiem dla szkół i wynaléć rękę postanowił Czacki, i energiczna jego



WŁOŚCIANIE Z OKOLIC KRASNEGO STAWU. (Rysował z natury Polkowski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.)

mienia na Wołyniu. Do jego doświadczenia „przyszedł Czacki o radę, jako o dług należny sprawie powszechniej.“ I dwaj ci zaci ludzie, godni najszczerzego hołdu i pamięci najdłuższej w historii oświaty krajowej, zrozumieli się i gorliwie a zgodnie wspierali wzajem przy wystawieniu wiekopomnego dzieła. Czacki jeździł, przemawiał, porywał serca i zyskiwał dary w pieniądzech, księgach, dobrach, narzędziach i przeróżnych ofiarach; wyrozumiewał potrzeby i chęci kraju, oświecał się z ksiąg o stanie nauk za granicą i rzucał genialne pomysły do przyszłej reformy szkół; lecz nie ufając sobie, przysłał je doświadczenemu przyjacielowi, który w swém zaciżu poddawał je najdojrzałszej rozwadze, wypracowywał z niezmordowaną gorliwością i uzupełniał z zadziwiająco dokładnością, aż do najmniejszych drobiazgów, nie szukając w tém żadnej nagrody i rozgłosu, owszem wciąż ukryty, za warunek współdziałania położył, aby imię jego nie było wymieniane. Bez tej pomocy zdolnej i wspartej na gruntownej nauce i doświadczeniu, dzieło Czackiego, przy niezmiernej jego żywości i zgiełku różnych zajęć, może nie otrzymałoby tej wykończonj dojrzałości, jaka je zaleca. Korrespondencja między tymi dwoma sławnymi ludźmi, co się wzajem dopełniali w ważnym dziele, ogłoszona drukiem w Krakowie 1844—5 roku w 4 tomach, przejmuje dla nich czcigłęboko; co jeden zamyslił, drugi chętnie i rozradowanym sercem na zawołanie czynił. Po wspólnych naradach, postanowili urządzić szkoły najprzód na Wołyniu, a potem na Podolu i Ukrainie, w następnym sposobie.

Chociaż z powodu rozległości wydziału wileńskiego, potrzebny był drugi uniwersytet bliższy, jednak aby nie wywoływać niechęci korporacji wileńskiej, postanowili tymczasem założyć gimnazjum nauk wyższych w Krzemieńcu, a obok niego seminarjum nauczycieli szkół parafialnych, szkołę geometrów i mechaników praktycznych, szkołę chirurgów, akuserek, weterynarzy i ogrodników, wreszcie seminarjum gubernantek dla kształcenia córek obywatelskich. Kiedy Kołłątaj wziął na siebie wypracowanie szczegółowego planu powyższych wyliczonych zakładów, Czacki odezwał się o ofiary. Sam dawał wszystko co miał: majątek, niezmordowaną czynność, serce wolne od najmniejszego cienia własnych widoków, rozum przenikliwy i czas drogi. Głos jego, idąc ze szczyrego serca, trafiał też do serc i przełamanywał to odretwienie i egoizm, które upowszechniły się w skutku klęsk publicznych. Przemówił do wszystkich klas społeczeństwa, i wszystkie odpowiedziały mu gotowością do ofiar. „Nikt nie uwierzy co się dzieje, pisał Czacki do Kołłątaja dnia 19 września 1803 roku; sam Iliński daje majątek 800,000 złp. wynoszący.“ Inne ofiary również były znaczne: dr. Lernet dał 250,000 złp., Filip Olizar 84,000, ks. Sanguszko wieś całą, Aleksander Chodkiewicz fundusz na katedrę chemii, ordynat hr. Zamojski narzędzia do doświadczeń fizycznych i t. d. W księdze ofiar podpisały się najznakomitsze rodziny polskie, dając fundusz stały, lub jednorazowy dar, przekazując księgi, a nawet całe biblioteki, jak stryjenka Czackiego, strażnikowa koronna, wojewodzina braclawska, księżna Teofila Sapieżyna, bibliotekę po ojcu swoim księciu Jabłonowskim i t. d.

Oświadczać że „naprózno szukalibyśmy pozytywnej odmiany w narodzie, gdyby do wspólnej sprawy nie byli wezwani kapłani,“ odwołał się Czacki do ich uczuć obywatelskich. Duchowieństwo, pod przywództwem biskupa łuckiego Kaspra Kolumny Cieciszowskiego, licznie zebrało się w Łucku 20 października 1803 roku i wysłuchawszy pełnej zapachu mowy Czackiego, zgodnie i chętnie uchwalilo uczestniczyć w sprawie oświecenia ludu. Biskup Cieciszowski, imieniem całego zebranego duchowieństwa, odpowiedział, „że powołność w potrzebach kraju jest świętą powinnością serc poczciwych, przeniknionych nauką Boga,“ i postanowiono: że odtąd każdy pleban i każdy zakon czynnie się zajmie edukacją ludu, wykładając naukę religii w szkołkach i wizytując co tydzień szkółki w swojej parafii; że prałaci zapłacą osmą część swoich dochodów; że seminarzyści będą się uczyć matematyki, fizyki i ogrodnictwa; że każde zgromadzenie będzie wysyłać pewną liczbę uczniów do głównego seminarjum w Wilnie i t. d. Aby nauczać, postanowiono się uczyć i wszystkie nauki stosować do posługi wiary. Za przykładem łuckiej poszła dyceceza kamieniecka, i chociaż uboga, złożyła na edukację 10,958 złp. Opaci zgromadzeń zakonnych również składali chętnie dary. Bazylianie, dominikanie, karmelici, trynitarze, poszli za danym popędem.

Miasta ustępowały place na ogrody i grunta potrzebne na doświadczenia rolnicze; przyjmowały obowiązek posyłania do gimnazjum chłopców miejskich na naukę ogrodnictwa i rolnictwa, na chirurgią i weterynaryą. Kahały żydowskie również brały w tém

udział. Szczególne stany, jak np. aptekarze, składali roczne daniny na doświadczenia chemiczne; słowem zapał był powszechny i niewypowiedziany, a ten co go wywołał, ani chwili nie dał mu stygnąć. „Jak szlachcie sejmikowj“ objeżdżał zjazdy, umyślnie zwoływane przez marszałków powiatowych, które szybko następowały jedne po drugich: 17 września 1803 r. był w Równem, 18 w Krzemieńcu, 19 w Zaslawiu, 21 w Konstantynowie, 13 grudnia w Olyce, 19 w Owruclu, a wszędzie chętnie i szczerze znajdował poparcie.

Tymczasem projekt wyższego gimnazjum był gotowy, lecz przesłany na rozpatrzenie uniwersytetowi, spotkał tam wielką niechęć i nagane. Użalano się że projektowane nowości szkodzą dobru powszechnemu, szczerpiąc na dwoje zaprowadzoną choć we względnie naukowym jedność gubernij zachodnich; że ledwie dobroczynne ustawy z 18 maja ucieszyły Polaków, gonią za czems lepszym, niepewnem; że Czacki ze swym poradnikiem brózdzi i mać wszystko. Ks. Strojnowski stał się niechętny, Jędrzej Śniadecki pisał do Czackiego, aby gimnazjum wołyńskie zostawił jak chcą mieć ustawy ogólne, rada uniwersytecka przekładała, że szczegółj niedokładne należy zostawić czasowi. Czacki jednak był niezachwiany w swym zamiarze. Wtedy kurator, z właściwym sobie taktem, powołał Czackiego do Wilna, poruczając mu wizytę uniwersytetu, aby przez to zbliżyć go osobiście do niechętnych. I wistocie użyty środek się powiódł: bo Czacki rzadkim swym do ułagodzenia namietności darem usmierzył niechęć swych przeciwników i nietylko skłonił ich do przyjęcia swego projektu, z malemi tylko zmianami, ale nadto sam w uniwersytecie stał się jakby duszą wszystkiego. „Bez władzy, pisał do Kołłątaja z Wilna dnia 25 grudnia 1804 roku, stałem się przez ufność niejako wglądaczem we wszystko, ale przez te siedmnaście dni nie miałem wolnej godziny.“

Usunawszy trudności stawiane przez uniwersytet i upewniwszy się o pomocy kuratora do przeprowadzenia swego projektu w Petersburgu, wziął się Czacki do uzupełnienia potrzebnych jeszcze funduszy ofiarami, przysposobienia gmachów dla gimnazjum i zaopatrzenia go w nauczycieli i pomoce naukowe.

Ofiary dawano chętnie, i oprócz naznaczonej etatem od rządu summy 5,300 rubli sr. rocznie, zebrał z darów jednorazowych i zapisów wieczystych do 30,000 rs. rocznego dochodu.

Zabudowania odpowiednie celowi były prawie gotowe w Krzemieńcu, który obrany został i dla tych zabudowań, (kollegium pojezuickiego i obok klasztoru bazylianów, których przeniesiono do klasztoru reformatów, tych zaś do Dederkał), i dla położenia prawie w środku Wołynia, w miejscu górzystym, więc łatwiejszem do utrzymania czystości i zdrowia. Potrzebne przebudowania i porządki, pod okiem budowniczego Kubickiego postępowały szybko.

Trudniej szło z wyborem i sprowadzeniem nauczycieli. Dawniejsi okazali się nieodpowiednimi do nowych celów; aby się ich pozbyć z kollegium i opróżnić miejsce dla nowych (nieznanci mieli mieszkać w kollegium, żonaci na mieście), Czacki jednym dał emeryturę, drugich rozmieścił po innych szkołach, a wezwał zaszczytnie już znanych z nauki, jak Linde, Sołtykiewicz, Czech i Szeidt z Krakowa. Ponieważ jednak dyplom cesarski, nadający Czackiemu na pierwsze raz władzę nominowania profesorów, jeszcze nie nadszedł, wezwani zostawali w niepewności, i gdy niepewność się przedłużyła, niektórzy przyjęli gdzieindziej obowiązki. Jednak powoli dobrał komplet, dopełniając go z najzdolniejszej w szkołach młodzieży, którą swoim kosztem dla udoskonalenia w obranych przedmiotach wysyłał za granicę (Kudlicki, Szostakowski, Judycki, Żukowski). Najwięcej był uszczęśliwiony pozyskaniem dla swego gimnazjum Czecha i Szeidta, z których pierwszego mianował dożywotnim dyrektorem gimnazjum, drugiemu zaś powierzył utworzenie ogrodu botanicznego i wykład chemii.

Dla uzupełnienia biblioteki, sam Czacki udał się do Warszawy, gdzie już przed dwoma laty ugodził był dobraną i okazałą bibliotekę po królu Stanisławie Augustcie, szacowny zbiór medali i numizmatów, narzędzia astronomiczne i gabinet historii naturalnej. Wszystko to zdołał nabyć za 15,000 dukatów, co według zdania świadomych tej rzeczy, było prawie tylko za oprawę. Katalog biblioteki i medali, starannie sporządzony i własnoręcznie przepisany przez Albertrandeego w XI tomach, do dziś używany w uniwersytecie kijowskim, szafy w których mieściły się książki i zbiory królewskie, nawet sługa biblioteczny, stary Troczykowski, wszystko to ruszało do Krzemieńca. Narzędzia fizyczne obstalowano w Paryżu i tamtejszych uczonych uproszono, aby dopilnowali wykonania. Gabinet mineralogiczny powstał z darów ks. Józefa Poniatowskiego i H. Kołłątaja. Zbiór Kołłątaja, w 1792 roku kupiony w Dreźnie od Pötschena, skła-

dał się z przeszło 6,000 sztuk i odznaczał się osobliwie licznymi i bardzo wielkimi labradorami. Do mającego się założyć ogrodu botanicznego zamówiono wszystkie gatunki drzew, w granicach dawniej Polski rosących, egzotyczne zaś rośliny skupowano za granicą. Ze wszystkich stron ku Krzemieńcowi ciągnęły wozy z pakami ksiąg, minerałów, różnych narzędzi i zbiorów; w mieście z pośpiechem wykonywano potrzebne zmiany w budowlach, restaurowano kościoły, sprowadzano i umieszczano profesorów. Stolica nauk powstawała jakby cudem. Nad wszystkiem czuwał, we we wszystko wglądał niespracowany Czacki. Uczeni, dawniej mu niechętni lub nieufający jego siłom, teraz oczarowani zadziwiającymi skutkami jego geniuszu i nieznającej zawał żarliwości obywatelskiej, odezwali się o nim ze szczerem uwielbieniem i poczęli trwożyć, czy jego zdrowie podola tyłu i tak różnym pracom. Upominali, aby się więcej oszczędzał, bo w nim jednym upatrywali potrzebną moc do spełnienia zaczętego dzieła. Ale Czacki podwajał jeszcze usiłowania. Chcąc od jesieni rozpocząć w gimnazjum nauki, dzień 1 października 1805 roku przeznaczył na jego otwarcie i niczego nie zaniedbał, aby dzień ten uczynić świętniejszym. Od godziny szóstej rano wystrzały z dział i bicie dzwonów przez całą godzinę zapowiadały niezwyčajne święto. Od godziny 9ej biskup łucki Kasper Kolumna Cieciszowski, w gronie licznego duchowieństwa wszedł do kościoła. O wpół do 10ej przybył Czacki z dyplomem cesarskim w ręku, a za nim władze, liczni goście, profesorowie i studenci. Biskup Cieciszowski celebrował wotywę, muzyka grała; po credo biskup Podhorodeński miał kazanie, po summie zaś Czacki polecił sekretarzowi odczytać dyplom cesarski. Potem Czacki miał mowę. Po nim zabierali głosy: Chodkiewicz, Wyleżyński i Lernet, imieniem obywateli, warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk i uniwersytetu wileńskiego; wreszcie ks. Kaczkowski suffragan łucki, pontyfikalnie przybrany, w asystencyi księży poświęcił sale szkolne. Po skończonj ceremonii był wielki obiad u Czackiego.

Kurs nauk w otwartym gimnazjum krzemienieckim (1818 roku przemianowanym na liceum, bez zmian) był 10cio-letni i dzielił się na 4 klasy i 3 kursa dwuletnie. W klassach wykładano języki: łaciński, polski, rossyjski, francuzki i niemiecki, jako główne przedmioty; naukę moralną, geografją i arytmetykę, jako przedmioty dodatkowe. Celem tych czterech klass było udoskonalenie uczniów w językach, w czasie kiedy ich pamięć najżywsza, i przygotowanie ich do nauk wyższych, dawanych na kursach. Języki usposabiały do słuchania literatury tychże języków; arytmetyka rozwijała myśl, mająca się wzmożnić słuchaniem matematyki wyższej i logiki na kursach; geografia przygotowywała do historii, a religia i nauka moralna do słuchania prawa. Oprócz wzmiankowanych dopięro przedmiotów głównych, były jeszcze dodatkowe: matematyka stosowana i astronomia, trygonometria sferyczna, architektura cywilna i wojskowa, numizmatyka i starożytności, i przedmioty zastawione do woli uczniów: język grecki, rysunki, geografia starożytna, mechanika praktyczna, muzyka, taniec, fechtowanie, konna jazda i pływanie.

Z samego wyliczenia przedmiotów widzimy, jak obszerny zakres miały nauki w gimnazjum krzemienieckim. Niedosć na tém, czuwający nieustannie nad swém dziełem Czacki, pragnął aby młodzież nietylko robiła postęp w naukach, lecz aby z młodu uczyła się żyć po obywatelsku. Zachęcał więc rodziców, których dzieci uczęszczały do gimnazjum, do przeniesienia się do Krzemieńca; urządził u siebie i w domach zamieszkałych w Krzemieńcu obywateli przyjęcia i zabawy, na których pod okiem starszych młodzież szkolna przyuczała się do przystojnej rozrywki, nabierała oglady i brana w szkole naukę uzupełniała obyczajnem, domowem wychowaniem. Ztąd w Krzemieńczanach spotykano wytworny takt życiowy i jakąś wyższą pewność siebie, skutki przeczornie urządzonej nauki. Nawet w czasie zwykłej, weselszej rozrywki, młodzi szkolnej nie zostawiali Czacki bez ojcowskiego nadzoru. Ledwie stróż *finis* zadzwonił i ochocza dziatwa wysypała się na plac, w towarzystwie swych profesorów, staje między nią Czacki, zachęca do gry w piłkę, i sam w tej grze przyjmuje najczynniejszy udział; a to z takim serdecznym weselem, z takim zajęciem, że nie widać różnicy jego wieku, majątku, tytułów i znaczenia w świecie. Patrząc jak się wykręca i opęda wesołej rzeszy bijącej mu *krawce* i *pieczątki*, jak świeci nad nią podniesioną głową, piękną twarzą i szerokiem, promiennym czołem, dusza w uniesieniu szczyrego hołdu przyznaje mu najzaciejszy z tytułów—tytuł dobrego ojca tej młodzieży.

Przy dobrym wykładzie nauki, bacnym nadzorze domowym, na który zwróconą była szczególna troskliwość Czackiego, jego gimnazjum wkrótce zakwitło

i stało się słynnym nie tylko w guberniach zachodnich. Ze wszystkich tych stron zbiegała się tu młodzież po naukę, i Krzemieniec, pierwój licha i nieznaną mięscina, zabudował się pięknymi dworkami osiadłych w nim rodziców uczących się młodzi i nabył zaszczytnego rozgłosu. Przy otwarciu gimnazjum było uczniów 280, po pięciu latach już 612. Drugiego tak licznego gimnazjum nie było wtedy nie tylko w Rosyi, lecz i w Niemczech: wykładem pewnie jeszcze więcej celowało niż liczbą, dlatego zewsząd dawały się słyszeć odgłosy uznania i uwielbienia. Jan Śniadecki pisał, że albo uniwersytet trzeba przenieść na Wołyn, albo starostę (Czackiego) do Wilna. Minister oświecenia, hr. Zawadowski, w liście do Czackiego z dnia 14 listopada 1803 r. wśród wielu pochlebnych wyrazów pisał: „Któryż geniusz znakomitszy być może nad ten, co przynosi oświecenie współczesnym i następnym pokoleniom współobywateli swoich? Usiłowania j. w. pana nacechowane być mają wieczną pamięcią i powszechną wdzięcznością“ i t. d. Kurator wydziału wileńskiego, zwidziwszy w 1809 r. gimnazjum i w czasie egzaminów przekonawszy się o wzorowym jego stanie i znacznym postępie w naukach, pisał do Czackiego: „Nigdy zamiary nie mogły być piękniejsze i zlawienniejsze, nigdy też pomyślniejszym nie mogły być uwieńczone skutkiem. Mało jest przykładów, ażeby szkoła jaka w tak krótkim przeciągu czasu mogła się podnieść do tak wysokiego stopnia, jak gimnazjum krzemienieckie. Gimnazjum to, które w największej części winno swój wzrost i świetność j. w. panu dobrodziejowi, czni zaletę naszemu wydziałowi i służyć może za wzór dla innych i t. d.“

Ale większą nad to wszystko była wdzięczność obywateli. Najprzód w czasie restauracji kościoła pojezuickiego w Krzemieńcu, w galce krzyża umieszczono opis zasług Czackiego, podpisany przez całe zgromadzenie nauczycielskie. Potem, w skutku prośby Wołynian, postawiono w bibliotece gimnazjalnej popiersie Czackiego; pod sztychowanym zaś jego wizerunkiem umieszczono następujący dwuwiersz Molskiego, streszczający zasługi Czackiego.

Z jego wpływu i pracy mieć będą prawniki
Dwie pamiętki najdroższe: język i nauki.

Wreszcie wybito medal złoty. Zaczyn pan rossyjski i znakomity artysta, vice-prezes akademii sztuk pięknych, hr. Tolstoj, podjął się sam rytowania medalu. Medal ten wyobrażał z jednej strony popiersie Czackiego, z napisem łacińskim: *Grati cives Volhyniae in memoriam sempiternam* (Wdzięczni obywatele Wołynia na wieczną pamiętkę); z drugiej strony przedstawiono opromienioną Minerwa, laską budząca geniusz oświaty, który zasnął, co objaśniał napis łaciński dookoła: *Hoc lumine resplendet, geniumque litterarum excitat* (Takiem światłem jaśnieje i geniusz nauk rozbudza).

Tak głośne i powszechne uznanie zasług, a bardziej powodzenie z jakim dokonał najważniejszej części zamierzonego dzieła, cieszyło Czackiego i napelniało ufnością, że zdola spełnić i resztę rozległego planu. Oprócz gimnazjum, urządził jeszcze przy nim szkołę geometrów i mechaników praktycznych; potem szkołę ogrodnictwa i seminarium dla kształcenia nauczycieli parafialnych. Na seminarium guwernantek już miał fundusz potrzebny, lecz pragnął jeszcze utworzyć przy gimnazjum szkołę chirurgów, akuserek i weterynarzy, wreszcie podobną jak w Krzemieńcu założyć gimnazya na Podolu i Ukrainie. Na wszystkie te zakłady potrzeba było zebrać fundusz. Szczęśliwie prywatna nie wyczerpywała się: obywatele podolscy na gimnazjum w Winnicy uchwalili dać po 5 kopiejek z duszy; kijowscy 450,000 rubli asygna gimnazjum w Kijowie. Chciał nadto Czacki wykryć i ocalić dla szkół fundusze pojezuickie; w tym celu wyjednał u rządu ustanowienie komisji sądowo-educacyjnej wołyńsko-litewskiej, w której prezydując, tyle usilnością swoją dokazał, że w ciągu jednego roku 1807 — 8 odkryto i na rzecz wychowania publicznego zabezpieczono 2,350,000 złp.

Gorliwość w odzyskaniu funduszy edukacyjnych zrobiła mu wielu niechętnych, co pragnęli utać groźbą publiczną. Oskarżony przed rządem w 1807 r. i wzwany do Charkowa, a potem do Petersburga, potrafił się wytłumaczyć. Roku 1810 powtórną go oskarżono, zarzucając mu nadużycia w gimnazjum we względnie gospodarczym i naukowym. Komisya złożona z ks. Jabłonowskiego, hr. Moszyńskiego, i Romualda Bystrego, rozpoznałszy zarzuty, tudzież pytanie czy nie lepiej przenieść gimnazjum do Winnicy, jak tego w obwinieniu, z powodów egoistycznych, się dopraszano, uznała Czackiego niewinnym i gimnazjum zostało się w miejscu. Dnia 30 stycznia 1812 roku uroczystą mową otworzył drugie gimnazjum wyższe w Kijowie, lecz gdy z rokiem tym rozpoczę-

ły się nowe niechęci przeciwko Czackiemu, nie mogąc walczyć z niemi, zamknął gimnazjum, zabezpieczył jego zbiory i wyjechał na Podole. Wrócił potem do Krzemieńca, lecz niedługo w nim bawił: znużyła go walka, w której nadweryzył zdrowie i majątek. Na początku 1813 r., dowiedziawszy się o przyjeździe kuratora wydziału wileńskiego do jego okręgu, wyjechał na jego spotkanie do Dubna. Zaledwie zobaczyli się dwaj przyjaciele, Czacki nagle zasłabł i umarł wkrótce potem 8 lutego 1813 r., mając lat ledwie 47. Ciało jego pogrzebione w Porycku, serce zaś zachowuje się w Krzemieńcu, z napisem: „Gdzie skarb twój, tam i serce twoje.“ (*)

Zbyt weźmie dla kraju przerwało się życie niezamordowanego pracownika na polu dobra powszechnego. Nie wszystko wykonał, co sobie zamierzył, lecz zrobił bardzo wiele, więcej prawie, niż można przypisać jednemu człowiekowi. Świadczyć to będzie przed potomnością i o nim, i o społeczeńści, co tak chętnie wsparła jego zamiary. Nie stare ani zużyte było to społeczeństwo, kiedy zdobyło się na tak płodne czyny. Szczupłe ramy tego pisma nie pozwoliły nam wejść w szczegóły, które w żywocie Czackiego są niezmiernie nauczające, stawiając pobudkę i przykład jak należy służyć dobru powszechnemu. Dla tych szczegółów znajdzie się miejsce i należyte ocenienie w nowozamierzonym obszernym dziele: „O życiu i czynach Tad. Czackiego i słynnej jego szkole w Krzemieńcu.“

Dwaj wychowawcy szkoły krzemienieckiej, pp. Karol Kaczkowski i Antoni Kamiński, wezwawszy do współpracownictwa lub pomocy wszystkich byłych profesorów i uczniów liceum krzemienieckiego, wszystkich, co by posiadali jakies odpowiednie celowi pamiętki lub wiadomości, chcą wnieść pomnik pamięci Czackiego, wydając jego dzieła, listy i kreśląc obszerny żywot; następnie żywoty wizytatorów, dyrektorów, prefektów, celniejszych profesorów i uczniów, aby samo dzieło i jego owoce dały świadectwo o człowieku. *Patrzcie i sądzcie*, mówił Czacki do przyganiających mu; my dodamy: *patrzcie i naśladowajcie!*

Wojciech Grochowski.

RUCH DZIENNIKARSKI W GALICYI.

(Spóźnione).

Mowa hieroglificzna, z użyciem i bez użycia figur i rysunku, jest dzisiaj niestety w modzie. Piszę „niestety“, bo mam teraz na myśli łamięłowski i rebusy, które rzucają przeciw sobie nawzajem dzienniki, a których nie odgadnie czytająca publiczność tak, jak je odgadują ci, którym wiadome są ukryte powody pisma hieroglificznego.

Nowo zawiązującym się pismem we Lwowie jest *Homeopata Polski*. Przeciw programowi wystąpił ostro doktor F. Maciejowski, wykazując ze stanowiska krytyki, iż leczenie pigułkami i kroplami jest tem, czem szarlatański trunek miłości Dulcamary. Mimo niewiary w homeopatya, mniemam iż pismo homeopatyczne będzie pożytecznym zjawiskiem, bo obudzi antagonizm, obudzi z letargu lekarzy, którzy w tak obszernej prowincyi nie zdobyli się dotąd ani na jedno pismo lekarskie. Doktor Kaczkowski rozwinię swoje przekonania, oparte na nauce i doświadczeniu; rzeczą będzie zdolnych allopattów dowiedzieć, że i oni umieją nie tylko pisać lekarstwa, ale też i pisać dzieła. To tylko ma szczególnego przyszłe wydawnictwo, iż reprezentanci czterech narodowości stanowią skład jego redakcyi, to jest: Węgier doktor Bakody, Niemiec doktor Szreter, Czech chirurg Dokupil i Polak doktor Kaczkowski, i że trzej pierwsi nie umieją pisać po polsku, a ostatni zapomnieli, bo lat 20 przepędził w Wiedniu. Będzie to więc *curiosum* językowe dość osobliwe, szczególnie, jeżeli z innych stron (bo i w Krakowie jest homeopata Ebers, przybyły z Ohio w Ameryce) Polacy homeopaci, których jest nader mało, nie wesprą przeważnie nowego pisma. Daj Boże aby rozwijało się z pożytkiem dla nauki i przyczyniło się do jej postępu.

Co do pism istniejących, zawsze przoduje *Czas*. Szanuję to pismo, bo nie zbacza z drogi obranej i nie schlebja namiętnościom. Na krótko opuścił był M. Mann redakcyę, lecz znowu znając w piśmie wytrawne jego pióro. *Czas* dodatek miesięczny, opóźnia się całymi miesiącami; nie więc dziwnego że ku upadkowi się schyla.

Pismo *Ognisko*, prawie wyłącznie zapełniane projektami W. Wielogłowskiego, jakoś nie może utrzymać

(*) W Warszawie, w kościele p. p. Wzytek, wkrótce wzniesionym zostanie pomnik Tadeusza Czackiego, dar znakomitego rzeźbiarza naszego Oskara Sosnowskiego i przez tegoż w marmurze wykonany. Po ustawieniu tego pięknego dzieła sztuki, postaramy się dać czytelnikom naszym jego rysunek (Przyp. red.)

się. Projekta W. Wielogłowskiego są piękne i nieraz praktyczne; jest ich może za wiele na raz, lecz nie można zarzucić, iżby źle radził. Niema tylko takich, którzyby usłuchali i uwierzyli, jak to zwykle bywa tam, gdzie idzie o ryzykowanie kapitałów. Fr. Wiesiołowski jest podporą tego pisma. Drobniemi artykułami zasilają je: Ant. Goluchocki, Leopold Bystrzonowski, Ad. Gorczyński, S. Żebrawski, Henryk Rychthofen, Zygm. Jar... i kilku innych. Ostatni ma od nowego roku objąć współredakcyę tego pisma, gdyż Wielogłowski stracił na tem wydawnictwie.

Tygodnik rolniczo-przemysłowy jest może najlepszym pismem rolniczym polskim. Przyznały mu to pierwszeństwo pisma rolnicze warszawskie. Zasługa to wydawcy Marc. Jawornickiego. Lwów, mimo większej liczby członków Tow. gospod., nie zdobył się dotąd na nic podobnego i ledwie stać go na *Roczniki*, szczupłe treścią i liczbą współpracowników.

Nowe czasopismo *Niewiasta*, pod redakcyą Kaz. Józ. Turowskiego, pozyskało sobie sympatya. Wyszło go 42 numerów, z których można sądzić o wartości pisma. Józef Szujski poeta podpisujący się cyfrą 2, Turowski, podpisujący cyfrą 1, piszą bądź recenze, bądź historyczne opowiadania. Do składu redakcyi należą: Wolski i Jan Kanty Turski, którego poezyjki, lubo nie wytworne, mają wdzięk prostoty i naturalności. Zwróciła moję uwagę komedia Edwarda Lubowskiego, napisana z humorem i znajomością sceny, p. n. *Przywycieczki*; postacie bohaterki kocietki Pawlinei i hr. Obójnickiego, są konsekwentnie i wyraziście narysowane. Mimo usterków stylowych i mimo chybych kilku scen, mianowicie w akcie czwartym, sądzę iż Lubowski szczęśliwie rozpoczął zawód literacki i potrafi lepszymi dziełmi ubogacić naszą ubogą literaturę dramatyczną. Domieszczone po sztuce tej zastrzeżenie, iż jej ani grać, ani przedrukować, bez wiedzy autora, nie wolno, znamionuje, iż początkujący autor dobrą ma o swoim utworze opinią. Bezprawny jednak przedruk komedyi tylko jednemu Fredrze przytrafił się; na nieznanym pisarzu prace nikt nie łakomi się, zaś co do grania, autor może być kontent, jeżeli dzieło jego przymją na repertoar, znany jest bowiem wstępnym wszystkim dyrektorów scen do sztuk oryginalnych. Artykuły rozumowane ks. Wal. Serwatowskiego, nacechowane prawdą i doświadczeniem, są ozdobą tego pisma. Rozprawka *O niewieście w obowiązkach religijnych*, malująca dosadnie różnicę między pobożnością a dewocya, wywołała rozruch między dewotkami krakowskimi, i bodaj była skuteczną. Dewotka krakowska, to typ, godzien figurować w jakiej powieści lub molierowskiej komedyi. Szujski, Ilnicka, Turski, Siemiński dostarczyli poezyj. Wystąpił też Szujski z obrazkiem historycznym o Annie Jagiellonce. Rozpoczęto obszerniejszym jak się zdaje rozprawę o *Polkach literatkach*. Najprzód rzecz podano o poetkach i o autorkach scenicznych, zapowiedziano zaś we wstępie, że będzie mowa o czterystu Polkach piszących. Każda więc z autorek znajdzie tam słówko o sobie.

Z kolei wypadła mi powieść o illustrowanym *Postępie*, wychodzącym w Wiedniu. Oprócz niezłych drzeworytów i oprócz opowiadań o nowych wynalazkach, niewiele tam dotąd było zajmującego. Wydawca J. Osiecki nie uważał na potrzeby kraju, dla którego pismo wydaje. Karykatury nie zawsze szczęśliwe, a biografie nie odnoszące się do życia narodowego. Dodajmy do tego nie doborowe wiersze, a będziemy mieli całosć ilustracyi wiedeńsko-polskiej. Ostatni dopiero zeszyt *Postępu* znacznie jest lepszy. Mieści on same artykuły krajowe, jakoto: obszerną wiadomość o życiu i pismach Winc. Pola., o moście pod Przemyślem, biografia Kościuszki, trafny przegląd polityczny, o obrazie Grotkera: ucieczka Henryka Walezyusza, karykatury krajowe i t. p. *Dziennikowi literackiemu*, na jego zaczepkę, odcina się dwiema odpowiedziami i jedną karykaturą.

Towarzystwo naukowe krakowskie krząta się tego roku więcej niż lat ubiegłych. Wydało rocznik w dwóch oddziałach, obejmujący prace J. Majera, P. Popiela, J. Załuskiego, Fr. Skarbka, F. Slotwińskiego, E. Czryniańskiego, J. Dietla, M. Zieleniewskiego, Trembeckiego, Zeisznera i Neugebauera. Jak zwykle dano przewagę naukom lekarskim i przyrodniczym. Krząta się Towarzystwo około wydania słownika terminologii prawniczej polskiej, według układu S. Zaranckiego. Uprzedził je wszakże księgarz Wildt, który wydaje podobny słownik redakcyi Czecha Mozera. W towarzystwie naukowym pracują nad redakcyą słownika: Burzyński Piotr, Al. Cukrowicz, Firych, Hammer, Helcel, Koczyński, Kopf Wiktor, Machalski i kilku innych zdolnych prawników. Nie wątpię że dzieło będzie dobrém. Towarzystwo nadto układa zbiór materiałów dziejowych, rozsypanych po czasopismach, i inne zbiorowe dokonywa prace. Szkodą tylko że

(Obacz Dodatek.)

WIEK PRZESZŁY I WIEK TERAŹNIEJSZY.



STROJE DAWNE.

Patrz, białogłowa,
Bracie mój!
Co za powaga,
Jaki strój!
Kornet na ucho,
Włosy wstecz,
Jupka lamowa,
To mi rzecz!

Zgrabna gorscek
Spina stan
Biały kaftanik
Złotem tkan,
I angażanty
W srebrną nić.
Nie żal z trzewiczka
Zdrowie pie!



STROJE TERAŹNIEJSZE.

Popatrz no, jakiś burnus
I szary i bury;
Jakaś kukła na głowie
Z koguciami pióry;
Krynolina rozdęta,
Suknia ogoniasta;
Dalibóg że nie poznasz,
Balon czy niewiasta!

Z przodu kłamrą spódnice
W festony zebrała,
Ścisnęła się gorsetem,
Aż ponsowa cała.
Patrz, tu znów dwie ich idzie!
Czekajże aż miną,
Bo cię zmiotą z chodnika,
Lub zranią sprężyną.



OŚWIADCZYNY DAWNE.

—„Miłościwy cześnik raczy
Bez zbytecznej alteracyi
Wręcz wysłuchać méj oracyi.
Tak! syn pana wojewody,
Co śród dalszych znana świa-

[tów
Gloria jego antenatów,
Ponad przeszłych wieków to-

[rem

Dziwnie pańskim lśnić splen-
[dorem,
Swojej matki cudne lice
W konterfekcie mając zdo-
[bne,
Kiedys ujrzał był dziewięć,
Kubek w kubek doń podo
[bne.

A zobaczył ją w kościele,
Bo nabożnych cnót ma wiele.
Odtąd wzrok od konterfektu
Nie mógł podnieść bez
[afektu,
Serce mając wskroś prze-
[szyte

Strzałą syna Afrodyte,
Poprzysięga, tylko onę
Gładką pannę wziąć za żonę.
Cnych płomieni jego gwiazda
Z przeznaczonego idzie gniazda,
I nadobne stworzą sploty
Połączone dwa klejnoty:
Tam — krzyż bieli na pur-
[purze,

Tu — dwie kopie lśnią w la-
[zurze.

Mnieć przysła — chorążycza,
A krewnego wam szlachcica,
Bym, cześniku mój mościwy,
Waszej myśli prawdę zgłębił,
Przez trafunek osobliwy
Dłań u stryja dziewosłębił,
I ułożył z panem bratem,
Czy mnie godnym uzna swa-
[tem.

(Włodzimierz Wolski.)
„Wielki Pan“.



OŚWIADCZYNY TERAŹNIEJSZE.

OJCIEC.
Więc gdy taka wola boska,
Pogadajmyż.

KAWALER.
Moja wioska [tnie,
Włók dwadzieścia, grunta ży-

Lak niewiele, gleba żyzna,
Pół kopiarze, pół pańszczyzna;
Gospodarstwo ślicznie kwitnie
Lasu niema, ale za to
Wcale niezła tam intrata
Jest gorzelnia.

PANNA.

W hipotece

Czy są długi?

KAWALER.

Tak dalece

Ja w pożyczki się nie bawię...
Towarzystwo, dług bankowy
I coś jeszcze... będzie prawie
Do wartości dóbr połowy;
Tam mniej trochę, trochę wię-
To już małej wagi sprawa. [cój,
Jakież posag?

PANNA.

Sto tysięcy.

OJCIEC.

Z tych pięćdziesiąt jest wy-
[prawa
W sukniach, meblach, jak przy-
A pięćdziesiąt na stoł. [stało]

KAWALER.

Mało.

Bardzo mało.

OJCIEC.

Ależ dosyć.

PANNA.

Dziś gotówka w wielkiej cenie.
KAWALER.
Mało, mało, na sumienie.
PANNA (obrażona).
My znów się nie będziemy pro-
[sić.

KAWALER.

Pan postąpi.

OJCIEC.

Ani grosza.

KAWALER.

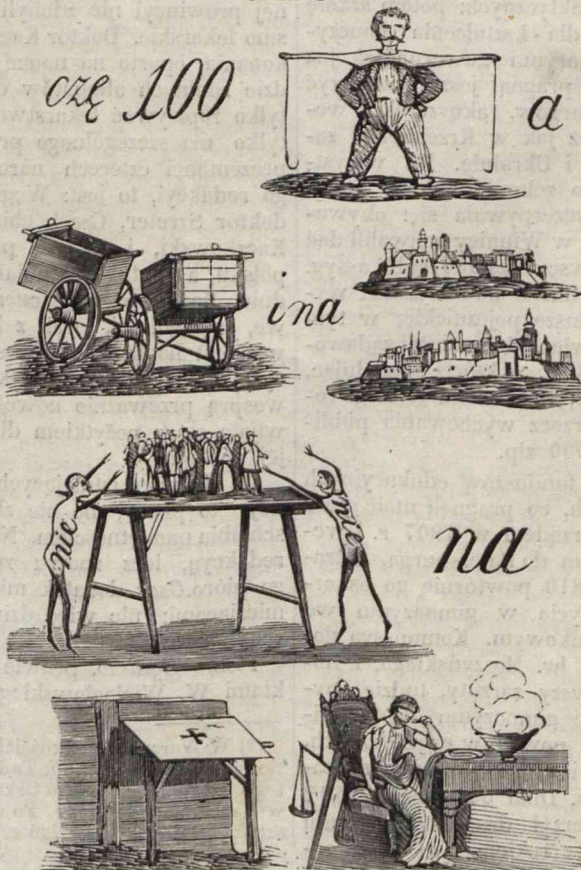
To już wolę wziąć od kosza.
PANNA (do ojca).
Dodaj papo, zrywać szkoda.
OJCIEC.

No, pół jeszcze dodam.

KAWALER (podając mu rękę).

Zgoda.

REBUS.

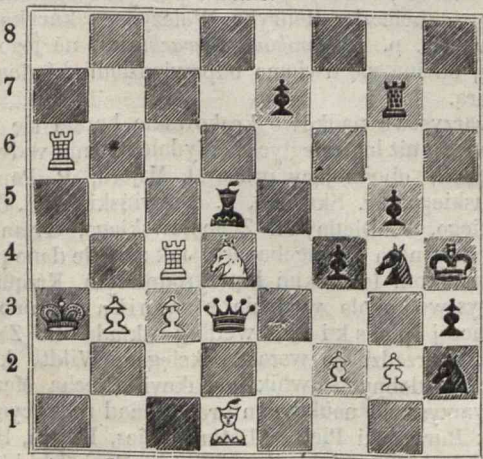


SZACHY.

ZADANIE XLVIII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim po-
suniciem.

Białe.



Czarne.

Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 66.

Bóg widzi, czas ucieka, śmierć goni,
wieczność czeka.

(Dodatek.)

składki na gmach Towarzystwa ustały zupełnie. Gdy na podróże i stroje nie braknie nigdy pieniędzy, nie może zdobyć się kraj na składkę kilkunastu tysięcy reńskich, aby raz przecie dokończyć budowy gmachu.

Na Szląsku jeszcze się trzyma rocznik trzynasty *Gwiazdki Cieszyński*. Bronisław Zamarski ze Lwowa, Michał Bałucki z Krakowa, ks. Winc. Krański i Anna Liberówna, dostarczają jej nieosobliwych poezyj. Ładnymi są poezje Pola, Lenartowicza i Włodz. Wolskiego. Biografie Skargi i Kar. Kosickiego; wspomnienia o ziemi św. przez Feliksa Gondek; urywki z nauk przyrodniczych przez Władysława Ł.; stała rubryka poświęcona gospodarstwu i przemysłowi, obszerna lecz nie dowcipna powieść *Wdowa*; na koniec trafne rozmowy Jury z Jankiem, — oto jest treść *Gwiazdki* z całego półroczka, do której doliczyć wypada korespondencje ze Lwowa i Krakowa, pisane niewprawnie i bez zastosowania się do potrzeb prowincyi dla której pismo wychodzi.

Na tém zakończam na teraz mój list o pismach czasowych, zostawiając resztę zwykłemu korespondentowi twojemu ze Lwowa. Nadmieniam tylko jeszcze, że podobno od Nowego roku ustać mają we Lwowie dwa pisma poważnej barwy. Szkodaby ich było, bo nie mamy za wiele naukowych prac, a sam kierunek umysłowy w pracach literackich nie jest jeszcze dostatecznie rozwinięty.

J. K. K.

KILKA SŁÓW O POWIEŚCI.

Pomiędzy dwiema gazetami wszczęła się w tych dniach polemika o to, która powieść jest lepsza: czy nasza, czy francuzka? Kwestya postawioną została zbyt ogólnie i dlatego ani porozumieć się w niej wzajem, ani zadowolić ciekawości publicznej nie było można; pozostawiono ją też nierozwiązaną, a przynajmniej oświadczenia się z jednej i drugiej strony nikogo stanowczo nie przekonały. Powieść polska nie małaż zajmie kiedyś kartę w dziejach literatury naszej; działanie jej było poważne i ślady niepowierzchowne; jeszcze ona nie obiegła całego swego koła, jeszcze zanadto do niej zbliżeni jesteśmy, zanadto żyjemy jej żywiołami, abyśmy o niej z całą swobodą i wszechstronnie, jak o umarłej, rozprawiać mogli. Nietrudno jest ocenić literacką wartość każdego powieściowego utworu pojedynczo, ale zbiorowe działanie wszystkich na massy i przez czas pewien, innego wymaga sądu.

We Francyi powieść była i jest tylko formą literacką twórców imaginacyi, i nikt też niczego więcej od niej nie żądał, prócz wrażeń imaginacyi. Myśl tam, stosownie do swego znaczenia i natury, znajdowała na każdym punkcie drogę objawienia się, kierunek utarty, gotowy, z którego żadna zawada nie zdołała jej cofnąć. Kościół, trybuna, katedra, książka, gazeta, broszura, wszystko było na zawołanie myśli, i wszystkie umysły gotowe były ją przyjąć. Cóż więc pozostawiało dla powieści? Bawieć. To też ona rychło weszła na tę drogę i nie znała innej; zarzuciła środki naturalne, jakich dotąd, pomimo wysokości swój, używa powieść angielska; przywdziała strój zbyt kowny; przywołała narkotyczne wonie i wyglądała jak ekscentryczna dama w buduarze sztucznie oświetlonym, otoczona atmosferą roślin egzotycznych i wyziewem opium, w rośkosznym omdleniu czekająca na zużytego gaszka. Gorący jej oddech, słowa płomienne, sztucznie podbudzona czułość, silnie działały na zmysły i imaginacyę; ludzie przeżyli nawet i zwiędli, zastygłych uczuć, jeszcze podrygiwali po użyciu tej morfiny, lub używając jej, zapominali bólów przeżycia.

— Co panu w życiu najwięcej sprawia przyjemności? zapytano zguśnialego Francuza.

— Fotel i romans, odpowiedział.

W odpowiedzi tej mieści się cała wartość powieści francuzkiej. Drastycznymi środkami łechcąc imaginacyę, podtrzymywała ona gnuśne i leniwe umysły; natrafiając atoli na umysł dziewczycy, wywierala nań wpływ zalotnicy, wślizgiła czerstwość i rozpróżniaczkała, i to było właśnie działanie jej demoralizacyjne, bo co się tyczy szczegółów i zbroceń od prawideł moralności, o tych nie wspominamy, są to bowiem właściwości niektórych autorów, niektórych pojedynczych dzieł i więcęj pływają po wierzchu, niż leżą na gruncie. Powieść francuzka ma wiele tych podrzędnych wad, i żeby przyszło rozbierać najwziętsze z tej epoki utwory, np. ogniste kreacje Sanda, pokazałaby się tam taka monstrualność, o jakiej świat do jej czasów nie słyszał; nie dotykamy też jej z tej strony. Lecz powieść ta w zakresie nie już moralności towarzyskiej, ale samego artysty, świetna i porywająca formami, w gruncie jest zupełnie czczą, jest to słowem, jak ją ktoś dobrze po francuzku nazwał: *la grande*

blague sensuelle. Co z tych stosów welinowej bibuły zostało na przyszłość, co wpłynęło na uzaczenie lub udoskonalenie ludzkości, czy serce ludzkie doznało zachęty lub ukojenia, są to kwestye, które w niemały kłopot wprowadziłyby mogły piszącego nekrolog powieści francuzkiej z najświetniejszych jej czasów, to jest pomiędzy r. 1830 a 1850. Postawiliśmy wprawdzie kwestye rozległe, ale bo też i rozgłos jej a wziętość rozległemi były. Zajmowała ona wybór talentów francuzkiego narodu, czepiała się wysokich kwestyj, chlonoła w siebie cały świat ducha i zjawisk socyalnych, ogarniała lądy i morza; twórcami jej byli ludzie za najzdolniejszych uznani, czytelnikiem cała znajoma ziemia. Przy takim szumie i rozgłosie, przy zużyciu tylu talentów, wyczerpaniu tylu sił twórczych, pytam się, jaki rezultat, a jeżeli jest jaki, czy połów opłacił przysposobienia i poświęcenie nurków? Pod względem formy, miała ona tę zaletę, iż nigdy nie była nudną, owszem na uwięzi trzymała ciekawość czytelnika, który nieraz oddech wstrzymywał, przewracając kartki. Wywołanie takiego zajęcia w indywiduum jest zapewne niepospolitą sztuką; cóż, kiedy zajęcie to odnosiło się raczej do imaginacyi, do cielesnej strony, niż do ducha, a dowodem, że po takim zajęciu, następował zwykle niesmak i skutki wrażeń rozprasały się w nicość, jak po kieliszku mocnego napoju. Skoro powieść raz weszła na tę drogę, już nie mogła się z niej cofnąć i szła do ostateczności, rzucając i chwytając coraz inne, coraz bardziej podbudzające środki; nie stało dostępnych w przyzwotém towarzystwie, zlaża do kałuży i dalejże najbrudniejszy napój podawać w perłowym puharze i na złotej tacy. Wyczerpała nareszcie wszystko, zmęczyla się, zużyła i padła z utrudzenia, i nikt jej nie żałuje, trup jej nieoprzebany jeszcze leży na tej drodze szaleństwa i płochości po której pędziła, a czytelnik ogląda się nań jak na podupadłego towarzysza i prokuratora fałszywych uciech, bez wyrzutu, ale i bez spólcucia. Nie przeczę, że okroiło się z tej tam powodzi cośkolwiek na trwałe dobytek umysłowy; takich rzeczy doszukamy się najwięcej jeszcze w Balzaku, pod mniej głośnie imionami, ale pojedyncze zjawiska znikają w ogólnej barwie chorobliwej dążności.

Przy takim charakterze powieści francuzkiej, trudno z nią porównywać naszą. Tamta, urodzona w Paryżu, przesiąkła elementami tego wszech-europejskiego życia, ma interes dla całego świata, jak moda, jak taniec nowy, jak język francuzki; nasza przeciwnie, powstała w innych warunkach i z innych potrzeb, nie kroila nigdy na szeroki zakres i ograniczała się przestrzenią naszego wyłącznie społeczeństwa; że zaś społeczeństwo nasze jest nieporównanie mniej wyrobionem niżeli francuzkie, przeto i formy naszej powieści musiały być prostsze, mniej liczne i mniej rozmaite. Jeden nowy żywioł przybywający do znajdujących się już w społeczeństwie, tworzy z niemi mnóstwo kombinacyi, o które tém samém nietrudno było przy nieustannym ruchu francuzkiego życia; u nas, przy ograniczonej liczbie żywiołów i słabym nadzwyczaj ruchu, kombinacje te zamknąć się musiały w bardzo niewielkim kółku. Powieść też nasza nie wyszła poza dom, nie zainteresowała wielkich społeczeństw, a nie małaż jej w tém zasługa, bo pokazuje się że była rodzimą, oryginalną, że była braterskim kąwalem chleba, którym autor łamał się ze społeczeństwem pod biędną strzechą opuszczonej. Nie sądzmy, iżby indywidually wzięwszy, nasi powieściowcy koryfeusze nie potrafili utrzymać się z honorem na szerokim gościńcu europejskim, lecz gdyby oni zwrócili się tam, czyżbyśmy ich wtedy zrozumieli, czy byłiby to ludzie nasi? U nas więc powieść nie występuje w strojona jak na bal ambassady, ale przedstawia się w skromnej, codzienniej sukience, bo u nas niema balów ani zebrań etykietalnych. Oczywiście, że tu już jest ogromna przewaga formy na stronę powieści francuzkiej; czyli że albo powieść nasza, chcąc błyszczyć, musi oddalić się od nas, i wtedy przestanie być powieścią polską, albo, pozostawszy na własnym gruncie, trzymać się powinna w tak skromnej formie, jak skromną jest forma samego społeczeństwa, inaczej będzie ona fałszywym obrazem. Nie weszły zatem do niej te burzliwe namiętności, wielkie zbrodnie i krzykliwe heroizmy, które stanowią najważniejszą przyprawę powieści francuzkiej, choć w nich, biorąc rzecz po ludzku, niema ani cienia prawdy, ale rozrobione sztucznie przez zdolnego artystę, sprawiają one miły widok fajerwerku, po którym zostaje tylko dym. Bo niechże mi kto powie, czy godzi się do ludzi rozsądnych przemawiać w imię jakichś kobiet bez imienia, rzucać im przed oczy jakichś oskrobanych galerników, jako modele tegości charakteru, lub wydmuchiwać bohaterów i bohaterki, z którymi kiedyś po drodze do nieba, chyba się na księżycu spotkamy. W takim

towarzystwie, przy zręczności artystycznej, nie dziw, że można zająć imaginacyę i zabić wszystkie inne formy. Otóż więc jedna z tajemnic, dlaczego powieść polska blado przy francuzkiej wygląda.

Autor francuzki przynosił do powieści tylko fantazyę artysty, dowcip człowieka wyższego; nasz, przychodził z misją obywatelską. Spostrzęga się w swém znaczeniu powieść nasza względnie do czasu i okoliczności, przybyła podać rękę tam, gdzie na niej zbywało. Opierając się na tradycyi, na prawdzie historycznej i obyczajowej, miała ona w sobie w wysokim stopniu względnie do towarzystwa pierwiastek kształcący. Nie posługiwała szczególnym zadaniem, czy to moralnym, czy filozoficznym, czy administracyjnym, jak to czyniła i dotąd czyni jeszcze powieść niemiecka, ale to uczucie dobra, jakie leżało w sercu autora, bez wyraźnej tendencyi przejawiało się w dziele i rozlało po wszystkich jego kartach; uwaga na społeczeństwo towarzyszące fantazyi wycisnęła na niém ślady, po których dojść można było do dna myśli tworzącego. Powieść nasza była głównie słowem miłości, nie zaś samym popisem artystycznym, i na tej drodze szła ona kierunkiem wytkniętym przez poezyę piérwszej ówczesi wieku, nie dorównała jej w świeżości pojawów, zgrzeszyła tu i owdzie do zaniedbanie, to czasami myślą fałszywą; lecz w ogólnej dążności usiłowała, najczęściej potrafiła, wyjawić słowo prawdy społecznej czy dziejowej, choć w mniej doskonałej, niezadowolniającej formie, a że dotąd nie odstrychnęła się od tego kierunku, przekonywa nas młody powieściopisarz Teodor Jez. Ta uwaga, to zastosowanie się do stanu społeczeństwa, winno być poczytane powieści naszej za wielką zasługę. Po raz piérwszy z pod skorupy przesądów i obojętności klas wyższych wystąpił w niej lud i przemówił nie już głosem tylko fantazyi, jak w poezyi, ale słowami wszystkich uczuć, potrzeb i charakteru odezwał się do nas przez usta Sawki, Budnika, Ulany, Jermoly i tych rozmaitych Bartoszków, których nam nieustannie nasuwano na oczy. Była to dla ogółu nowość zupełna, nowy przedmiot zastanowienia; powieść stała się poniekąd organem nieznanego świata, zbliżała nas doń środkami najpobawniejszemi, obudzała ku niemu interes, gdzie potrzeba przemawiała wyrzutem i napomnieniem. Jeżeli przedstawiała życie uliczne, zasciankowe lub szlacheckie, zalecała się przedewszystkiem prawdą, bodaj z poświęceniem błyskotnych efektów, i tą właśnie prawdą, traktowaniem żywotnych interesów społeczeństwa, wzięła górę nad powieścią francuzką, która się była już u nas na dobre rozlokowała. Musi mieć w sobie wiele żywotnego to, co potrafiło pokonać tak potężnego przeciwnika. Gdyby więc przyznano nawet wyższość artystyczną powieści francuzkiej, nasza będzie miała nad nią wyższość społeczną; tamta dla swoich nie zrobiła nic, nie sądzę przynajmniej i nie przypisuję tak wielkiego wpływu kilku jej tendencyjnym płodom, jaki upatrują niektórzy; nasza powieść była dla nas przez pewien przeciąg czasu jedyną możliwą karmią duchową, kołatała do wszystkich wrót, poznawała jednych z drugimi, unieważniała przestrzenie; a czy to w skardze, czy w satyrze, czy w erotycznym wylaniu, dodatnie widoki zawsze mając na celu, przyczyniła się do podtrzymania i sprostowania życia. Pod względem tedy działania na społeczeństwo, powieść nasza nie ma czego zazdrościć francuzkiej, bo stoi nad nią wyżej o całą różnicę pożytku i szkody; jeszcze po latach wielu będzie ona dobrze świadczyć za nami badaczom dzisiejszych czasów, jako praca na dobre będąca, kiedy francuzka, z całą swoją artyleryą namiętnych efektów, niczyjej ten zwróci uwagi, bo skoro przez czas wylezie z niej ten mocny zapach narkotyku i spłowieją kolory sztucznie wprowadzone do korony kwiatu, czego się w niej dopatrzy, co wtedy z niej wywnioskuje mędrzec dziejowy? Ona już i dziś we własnej nawet ojczyźnie mir na dobre traci, a krytyka niemiecka i angielska traktuje ją (jużci nie przez zazdrość), z lekceważeniem, pogardliwie nawet, co znowu nie jest słusznem. Prawda, że nie wycisnąć z niej idei wyższej, że, oprócz Balzaka, wzoru estetycznego ułożyć z niej niepodobna, bo przesada i szarlatanizm zapanowały nad nią zbyt mocno; ale ma ona w sobie przecież niedorównaną zaletę, wyłączną charakterowi francuzkiemu właściwą, to jest subtelny dowcip, werwę i zręczność w uchwytceniu wydatnych stron towarzyskiej manieri. Dobrze poszukawszy, można z nią naprawdę przyjemnie kilka chwil spędzić, tak jak na farsie dobrze odegranej; czasem znowu miejscami wybuchy prawdziwego uczucia wywołują głębokie i istotnie estetyczne wrażenie, co dowodzi, że nią zajmowali się ludzie wielkiego talentu. Któż im winien, że zmarnowali się, poświęcili przyszłość dla terażniejszości, że chcieli razić czytelnika wrażeniem, zamiast ogarnąć go zwoła ale

na długo. Pod względem tedy dowcipu i werwy, powieść nasza obyczajowa, chociaż nie jest z nich odartą, z francuzką atoli nietylko równać się, ale nawet bardzo do niej zbliżyć się nie może. Rozważne i atletyczne rysy społeczne Balzaka, znaleźć się jeszcze mogą w powieści naszej obyczajowej, która w ogóle ma więcej rzetelności i spokoju niż siły, ale daleko jej niesłychanie od dowcipu Bernarda, Bertheta, nawet od rubasznego komizmu Kocka. Trzeba istotnie wielkiej abnegacji, lekkomyślności nawet ze strony pisarzy francuzkich, aby przy tylu bogactwach indywidualnych, nie budować coś trwałego, pięknego wszechstronnie, ale szafować dar boży, tak jak syn marnotrawny szafuje sukcesyją po ojcu, przypadkowo zostawiając co z niej wyrosnie. Z takimi zasobami mogli byli oni zbudować panteon, a zbudowali coś niby szpital wariatów.

Ze też żaden z tych potentatów nie pomyślał o utworzeniu powieści historycznej. Ich powieść historyczna, to nieraz istne drwiny. Jak tylko któremu zbrakło konceptu, bajeczki do tła społecznego, otwierał sobie kronikę, przeczytał kilka kart, szarpał je przez ośm lub dziesięć tomów i wodził po różnych wertepach, prawiając to, o czem się nigdy nikomu nie śniło. Przedziwnym w tym względzie jest sobie Dumas, chociaż nie stanowi bynajmniej wyjątku. Podobne traktowanie historii w powieści, to już trochę więcej jak lekkomyślność, to niesumienność. Kto się nie obawia gorączki lub przynajmniej zawrotu głowy, niech przeczyta jego nieskończone bajdy o Muszkietierach i porówna wprowadzone tam figury historyczne z temi, które opisują Macaulay lub Guizot, a jeżeli wstrzyma się od oburzenia, to może sobie powinszować nerwów marynarza. I taka to powieść zwie się we Francji, bez żadnego zastrzeżenia, historyczną, a reasumuje się nie w jednym tylko Dumasi. Obok takiej powieści połóżmy: Murdeliona, Listopad, lub choćby Wyhowskiego, nie unosmy się zamilowaniem swojskości, ale bądźmy tylko sprawiedliwi, i według tej zasady osądzmy czyja powieść historyczna jest lepszą?

Pomimo niższość kunsztu, stawiając naszą powieść obyczajową wyżej pod względem prawdy wewnętrznej i naturalności, historyczną wyżej absolutnie ponad francuzką, nie idzie za tem, abyśmy jej przyznawali i w tém nawet zupełną doskonałość i sumienie nasze literackie obarczali bezmyślnym panegirkiem, twierdząc iż ona zrobiła wszystko co mogła była zrobić. My jedyną pod tym względem doskonałość widzimy tylko w powieści angielskiej, i dlatego radzibyśmy aby nasza dobrze jej się przypatrywała, nie iżby ją naśladować, ale żeby się od niej uczyć. Powieść nasza obyczajowa nazbyt przesiąknięta jest biernością, co szczególnie odnosi się do ostatnich czasów; wzoru, czynu, energii, trudno się w niej doszukać; satyra przemaga w niej nad ideałem, a pospolitość zbyt często zasiada na ławie oskarżonych. Prawda, że powieściopisarz bierze ziarna ze społeczeństwa, ale one wyrastają w nim tak, jakby nie miał własnego słońca w piersi, któreby rozrost uczyniło wspanialszym, albo jakby umyślnie tłumił jego promienie. Francuzi przeholowali w ideałach, my nadzwyczaj ich skąpiemy; dlatego też nie sądźmy, aby era powieści miała się już dla nas zamykać, byłoby to za wcześnie, kiedy na tej drodze, przy tak pięknych i zachęcających zaczątkach, jest jeszcze dużo do zrobienia.

Kazimierz Kaszewski.

N I G D Y.

I.

Co się działo razem w trzech miejscach.

1.

Był to wieczór karnawałowy. W powiatowym miasteczku niezwykły ruch panował: okoliczni obywatele zjeżdżali się na bal w miejscowej resursie. Pominie wiele a wiele przyjeżdżających i pań i panien, pominie i młodzież, bo wśród niej nie znaleźliśmy bohatera. Przepraszamy za wyznaczenie szczerze; wszak nie wymieniamy okolicy, która w łonie swego obywatelstwa bohatera nie posiada. Więc tylko okiem rzucimy na zajeżdżające powozy i bryczki, a całą naszą tu uwagę zajmie... karéta! jedyna tego wieczora do miasteczka zajeżdżająca karéta. Owa karéta bowiem stanowi *evenement*. Długo były kwestye w okolicy, czy zjawi się, czy nie zjawi się dnia tego w Mal., a kiedy się zjawiła, długo to zjawienie komentowano po mieszkaniach, gdzie się ubierały panie. Więc kiedy się ta karéta wszyscy w miasteczku głównie zajmują,

nie dziwnego że i my się nią zajmiemy głównie, że za główne na ten wieczór postacie obierzemy sobie siedzących, a później wysiadających z karety, i w kolo nich ugrupujemy tylko parę osób wybranych, co miały rzeczywiście szczęście utworzyć grupę w kolo przyjeżdżających kareta.

Przyjeżdżającymi byli: matka, z dziećmi hrabianka; troszeczkę zmezaliansowana małżeństwem z bogatym dobr właścicielem, z majątkiem, ale bez tytułu, i już dziś po nim wdowa, córka jej 18letnia Helenka i starszy syn Henryk.

W domu między matką a ojcem długie były debaty, czy jechać, czy nie jechać na bal do miasteczka. Henryk odradzał, matka się wahała; lecz Helenka chciała jechać, i pojechali, co dowodzi że Helenka była pie-szczoszka. Jakoż była nią rzeczywiście. Matka ją tak *kochała*, że czy Helenka chciała jechać do Warszawy, czy zostać na wsi, czy mieć suknię tarlatanową, czy krepową, czy wydać wieczorek w domu, czy pojechać w sąsiedztwo, matka zawsze na wszystko przystawała i zawsze stało się tak, jak chciała Helenka.

Teraz oto, na tydzień przed balem, Henryk przy-wiózł do domu pewną o nim wiadomość. Helenka słuchała jej obojętnie, nie podnosząc oczu od haftu.

— Jakże, czy będziemy? spytała matka.

Helenka skrzywiła usteczka i ruszyła ramionami.

— Niewarto, mówił Henryk. Kto tam będzie, moja mamó?

— A możeby się Helenka zabawiła, kiedy tego karnawału nie pojedziemy do Warszawy.

— Ręczę żeby się znużyła. Jeszcze tak mało mamy tu znajomych; nie tańczyłaby pewnie.

— Bo też nie wiem dlaczego się nie postarasz o znajomość między młodzieżą. Nikt u nas nie bywa.

— Któż mama chce żeby bywał? Tę młodzieży, którą widziałem na jarmarku w Mal. i raz na polowaniu u Stasia, ani ja nie mam ochoty prosić, ani też oni nie mają ochoty być u nas; a Staś przecie przyjeżdża dość często. Z nim jednym co jeszcze pogadać można i zaznajomić się warto, reszta....

— Już to prawda, odezwała się milcząca dotąd Helenka, sąsiedztwo mamy nieosobliwe. Byłeś w Bolanowie? Jakże ci się tam podobało?

— A wiesz, że tam bardzo! Młoda pani Ludwikowa miła i *dystygowana* kobieta. Musisz się z nią zapoznać, bo i ona mówiła mi że czuje, iż z nikim w okolicy pasować nie będzie, i bardzo ciekawa poznać ciebie.

— A oni czy na balu będą?

— Nie wiem. Mówiła mi pani Ludwikowa, że jeszcze nie jest zdecydowana. Pytała się czy ty będziesz i mówiła że w takim razie przedźeby się namysliła, żeby się z tobą zbliżyć.

— Jakże Helenko? pojedziemy? boby trzeba o toalecie pomyśleć.

— Nie, moja mamó, nie mam ochoty.

— Ja i pani Ludwikowej odradzałem.

— Więc stanowczo nie?

— Ja nie mam ochoty.

Nazajutrz Helenka była nie w humorze. Myślała że ją matka dłużej namawiać będzie, że ponowi naleganie; ta zaś, dobroduszenie uwierzywszy w nieochotę Helenki, dała pokój namowom i nie domyślała się czego się panienka coraz więcej kwasi, im więcej termin balu się zbliża. Na trzy dni przed balem przyjechał pan Stanisław, ów „jedyne z młodzieży, z którym żyć było warto.“ Konwersacya toczyła się o karnawale, bo pan Stanisław część jego spędził w Warszawie i miał co do opowiadania paniom.

— A wie pani, mówił do Helenki, że ciekawy też byłbym balu w naszej stolicy w Mal. Podobno zapowiedziany na sobotę.

— Henryk mówił że być nie warto, zresztą nie mamy znajomych.

— Panie nie zaznajomiły się jeszcze z panią Ludwikową? To bardzo *dystygowana* osoba. Znałem ją jeszcze w Warszawie; mówiła mi że będzie na balu i włożyła na mnie miły obowiązek namawiania pani, bo bardzo rada panią poznać. Zresztą zamówiłem kilku znajomych z Warszawy, których będę miał zaszczyt pani zaprezentować, zamawiając sobie zawczasu, przez ostrożność, pierwszego kontredansa i pierwszego mazura.

Helenka się zamysliła. Niecierpliwiła ją niedomyślność matki, obojętność Henryka, brak toalety; lekko brwi sciągnęła i nieznacznie drobna, arystokratyczna, po matce odziedziczona tupnęła nóżką.

— Jakże, czy możemy mieć nadzieję widzenia pani na balu?

— Już za późno byłoby się decydować, wyrzekła Helenka, tłumiąc łzy, które się do oczu cisnęły.

— Jakto za późno? Trzy dni jeszcze. Jutroby można wyprawić posłańca do Warszawy, przez piątek toaletę zrobić, a w sobotę wieczorem byłaby świeża i gotowa.

Gorączkowe rumieńce na bladą twarzyczkę Helenki wystąpiły; rozdrażnienie nerwowe wzmagalo się stopniowo przez ciąg wizyty i szczebiotanie „jedynego z młodzieży, z którym żyć było warto.“ Gdy odjechał Henryk, wyprowadziwszy go do sieni i wróciwszy do pokoju, zastał siostrę samą, z rękami opartymi na stole, z twarzą rozognioną, w dłoniach ukrytą.

— Co ci to, Helciu?

— Nic, głowa mnie boli.

— Pewno ci Staś dodał ochoty na bal.

— Mówiłam ci że mnie głowa boli.

— Nie pojechałabyś?

— Jakiś ty niezdolny! wybuchając z płaczem zawołała rozgrymaszona panienka. Raz odradzasz, drugi raz doradzasz, kiedy już za późno.

Na płacz weszła matka.

— Co to Helenko? Henryku, czego ona płacze?

— Nie mamó. Ma ochotę jechać na bal i myśli że już za późno sprowadzić toaletę.

— Czemuż mi wprzód nie powiedziała? Można było napisać do cioci.

— Jakże miałam powiedzieć, kiedy widziałam że ani mama nie ma ochoty, ani Henryk jechać nie chce. Ja się nie lubię narzucać i wymagać poświęceń.

— A teraz chcesz jechać na prawdę?

— Niema o czem mówić, teraz za późno.

— Gdyby jutro raniutko posłać do Warszawy, przez piątekby jeszcze zrobili. Pani J... ma twoją miarę.

— Eh! kogóż posyłać do Warszawy? Niema o czem mówić.

— Moja Helciu, kiedy się tak zaraz irytujesz. Twarz wypieczona, ręce gorące. Uspokójże się, przecie można poradzić temu. Napij się limonady, napisz do cioci jaką chcesz suknię i jakie kwiaty, a jutro raniutko Jan z walizą i z pudełkiem pojedzie do Warszawy. Dobrze? No, jakążby toaletę?

— Jabyłam chciała być cała białą ubrana. Już tak dawno marzyłam o białej tarlatanowej sukni i białej konwalii na głowę.

— Bardzo tak ładnie. A suknia jakże zrobiona? Z tunicą czy z falbanami?

— Tego nie wiem, doprawdy, jak noszą.

— Ja myślę że w tém możesz się spuścić na gust cioci; przecie ona wie jak najmodniej.

— To pójdę napisać do cioci.

— Idź, idź, bo już późno. Jutro nie wstawaj rano, przysył ci herbatę do twego pokoju; musisz przecie wypocząć przed balem.

— Oj te kobiety! westchnął po cichu Henryk, całując siostrę na dobranoc.

Pan Henryk miał ten zwyczaj, że ile razy ubodła go kokieteria jakiej lafiryndy, ile razy kaprys siostry nabawił kłopotu, zawsze wdychał ruszając ramionami i mówiąc pocichu: „Oj te kobiety!“ Pan Henryk podobny był do tych podróżników, co przejechawszy kawałek naszego kraju od Mysłowic do Szczakowicy, rozgłaszają potem że w Polsce same wydmy piaszczyste, puste, zarosłe gdzieniegdzie karłowatą choinką. Wydmy widzą, co prawda, bo im przez nie wypadła pospieszna droga; ale czemuż się z sądem nie wstrzymają, czemuż się nie pofatygują dalej? Dowiedzieliby się że za wydmami, za choinką, są równiny ciche, wesołe, są jary głębokie, są góry wysokie, są skały nieporuszone. Czemuż tamtedy nie jada?...

Przepraszamy za zбочenie do gór, skał i jarów, a wracamy... do wydm piaszczystych, czy do karłowatej choinki?... nie, do Helenki, której smukła postać, harmonijne kształty, wdzięczne choć powolne ruchy, nie mogły nam przecie nasunąć aluzji do nieszczęsnej okolicy z choinką między Szczakowką a Mysłowicami.

Helenka, wzburzona całą kilkodniową *walką i dramatem* co poprzedził zwycięstwo, zapowiedź nowych tryumfów, czując we wszystkich pulsach gwałtowniejsze krwi bicie, z głową płonącą i drżącą ręką, tego wieczora jeszcze napisała do cioci.

Nazajutrz wstała około południa. Przez dobę poprzedzającą akt ubierania, przesyła całą gamę uczuć:

obawy, nadziei, zwątpienia, aż koło piątej godziny w sobotę wierny Jan stawiał się z pudełkiem, z walizką, gdzie starannie upakowana śliczna spoczywała toaleta. Ciocia bowiem Helenki także ją tak kochała, że odebrawszy list, jedną tylko stała się myślą, i przez ową historyczną dobę cała jej egzystencja jedno tylko wyrażała: moja siostrzenica będzie na balu! Ile więc było woli, zapachu, zdolności w jej duszy, wszystko to odała na usługi swjej ukochanej Helence. Skutek uwieńczył usiłowania. Kiedy w małej najętnej stancyjce miejskiej Helenka stanęła owiana leciuchną białą tkaniną, kiedy po jej ciemnych włosach umiejętna ręka panny służącej rozsypała wiotkie dzwoneczki konwali, kiedy oczy żywym zajaśniały blaskiem, trudno było nie przyznać, że dziewczę ponętym i ślicznym wydało się obrazkiem, obrazkiem, jak to myślał sobie Henryk, za bladym i za nikłym dla parafiańskiej młodzieży, która się na nim nie pozna. Tak, ale pan Stanisław, ale jego warszawscy znajomi....

Pan Henryk nazajutrz, po ostatecznej decyzji siostry, pojechał do Bolanowa, uwiadomić o niej panią Ludwikową i upewnić ją że znajdzie *swoje* towarzystwo na balu w miasteczku. Pani Ludwikowa nie potrzebowała zakłopotać się o balową toaletę. Młoda od kilku miesięcy mężatka, dostatecznie uzbrojona wyjechała w nieznaną sobie okolicę, i dosyć było z mnogich zapasów wybrać suknię i kwiaty, żeby zaimponować i zagasić skromne panienek ubiory.

Pan Henryk tak kochał Helenkę, taką nad nią rozciągał opiekę w ważnych chwilach jej życia, że teraz, widząc ją strojną i piękną, prosił pań, żeby się wstrzymały z wejściem na salę, aż on przekona się czy już jest owo towarzystwo, jedynie godne otaczać Helenkę.

Poszedł, a choć była już jedenasta, pustki prawie jeszcze zastał. Kilku tylko panów, jak on wysłanych na rekonesans od siostr i matek, przyszło zobaczyć czy już przyjęcie można, nie kompromitując dobrego tonu. Zwolna ukazywać się zaczęły panie i panienci, w białych, różowych i niebieskich sukniach, po podścianą różnobarwny tworząc wieniec. Odezwała się też i orkiestra, przetańczono poloneza, roztremlowano się już na dobre w polce, a Helenka w zimnej izdebce drżała jeszcze w swjej lekkiej sukni, usiąść nie śmiejąc, by nie zgnieść falbany. Jej zaś troskliwy braciśzek *nonchalemment* obchodził salon i zaglądał do bufetu, nie racząc tańczyć ni wprowadzić siostry.

Nareszcie ukazał się pan Stanisław, towarzysząc dwom damom, kuzynkom swoim, z dalszej okolicy na bal przybyłym, i wiodąc z tryumfem czterech z warszawskiej młodzieży. Zaprezentowano paniom Henryka i posadzono je jak można było najdalej od zbranego już towarzystwa.

— Niema jeszcze naszych dam? szepnął Staś Henrykowi.

— Muszę zajrzeć *où elles en sont avec leur toilette*, odparł Henryk, choć wiedział dobrze, iż toaleta od dwóch blisko godzin skończona i że panie ziewają i trzęsą się od zimna. Przyjęły też radośnie wiadomość, że już przecie iść można. Biędna matka usiłowała zupełnie się rozczuć. Stangret państwa Ludwików miał rozkaz zjechać natychmiast i dać znać przez lokaja, jak karetka ku resursie zdążyć będzie. Jakoż podążył powóz tuż za karetą i panie razem prawie weszły do przedpokoju.

— *Je vous présente ma soeur*, wyrzekł Henryk, zbliżając się do pani Ludwikowej, która czasem miewała napady naiwnej serdeczności.

Skryła więc wyraz badawczy swego wzroku, co ukradkiem ogarną wszystkie szczegóły stroju Helenki, ubrała się w jeden ze swoich najprzejmniejszych uśmiechów i podała Helence obiedwie rączki, obciśnięte w świeżutkie rękawiczki, ustrojone w gustowne bransoletki. Wprawnej we wszystkie manewra, nie przeszkodziły ani wachlarz, ani lornetka, ani bukiet, ani chusteczka wonna i przejrzysta. Wszystko to nie odjęło wdzięku serdecznemu powitaniu, którego efektu na Henryku drugim ukradkowym badała spojrzeniem. Helenka, według swego zwyczaju czy natury, dosyć apatycznie przyjęła powitanie. Ukloniła się, wysłuchała co powiedziano, odpowiedziała co należało odpowiedzieć. W sferze w której żyła, zachowywały się tak wszystkie panienci; mężatki tylko zdobywały się na samodzielność, improwizując, stosownie do okoliczności, obojętność i uczucie, śmiałość i lekliwość. Nic dziwnego, że tam gdzie przez pierwszą połowę życia tłumia uczucia, w drugiej udawać je muszą.

Tymczasem zabrzała przygrywką do kontredansa. Henryk podał rękę pani Ludwikowej, Staś wpadł do przedpokoju, rozróżniwszy turkot karety, i szepcząc Helence różne piękne rzeczy o niecierpliwosci i obawie z jaką oczekiwał skutku swych nadziei, stanął z nią do *vis à vis*, upewniwszy się wprzód że dwaj z młodzieży warszawskiej tańczą z dwiema jego ku-

zynkami. Tak, skutkiem nieocenionej troskliwości panów, wszystko było w porządku: pani Ludwikowa, Helenka, dwie kuzynki Stasia, znalazły się wyłącznie w *swojem* towarzystwie i nie tylko ten pierwszy kontredans, ale wszystkie następne tańce szły w tém samym zaczerpniętym kole.

Któż wypowie wszystkie wyrazy i znaczenia uśmiechów, spojrzeń, jakimi pani Ludwikowa darzyła Helenkę, spotykając ją w kontredansie. Z jaką radością, z jaką siostrzyńską, macierzyńską nieledwie życzliwością podawała jej rękę w *tour des mains*, z jakim lubym *abandon*, podając jedną rękę Henrykowi, drugą Stasiowi, balansowała w trzeci figurze, posyłając Helence wzrok, od którego promienie po stronach padały. Nie mówiły z sobą wiele te panie, bo tańczyły bez ustanku, naturalnie zawsze tylko ze Stasiem, Henrykiem i warszawską młodzieżą. Nie przeszkodziło to jednak zawarciu *scistych* stosunków przyjaźni. Pani Ludwikowa parę razy, idąc poprawiać włosy do buduaru, wzięła Helenkę pod rękę. Wracając ukazywały się oczom oczekującej młodzieży zajęte żywą i interesującą rozmową. Pani Ludwikowa zwłaszcza, objaśniając Helence że w sali gorąco, albo że ta lub owa pani ma kwiaty nie świeże, lub suknię źle zrobioną, i nachylała się ku niej z wyrazem naprzemian tkliwęj opieki i figlarnęj wesołości dziecka.

— *Elle est charmante, votre soeur*, mówiła pani Ludwikowa do Henryka; a rozpoczynając konwersacją od tego tematu, mówiła wiele innych i różnych rzeczy.

Jak to wygodnie czasem mieć siostrę lub brata.

Henryk też, jak mówiliśmy, kochał Helenkę, kochała ją matka, kochała ciotka, na owym balu zyskała jeszcze *kochającą przyjacielkę*. Szczęśliwa Helenka!

Na gruncie takiej miłości rodzinnej, takiej przyjaźni, jak się też rozwinie ta *miłość*, co gwiazdą przewodnią przyswiecać ma całemu życiu kobiety? Zobaczmy.

2.

W dzień owego balu w Mal., druga nasza znajoma, którą zaraz państwu zaprezentujemy, nie o nim nie wiedziała. Bo też mieszkała daleko w Warszawie, a z owego wybranego koła znała tylko panią Ludwikową, a i tę z oczu straciła, odkąd piękna Zosia za mąż poszła.

Ponieważ Anna siedzi teraz właśnie w ostatnim pokoju, przejdźmy więc poprzedzając i przypatrzmy się całemu mieszkaniu. Jest ono dalekie od turkotu i wrzawy ulicznej. Okienka jego niewielkie wychodzą na obszerne podwórce i na parę dalszych miejskich ogrodów. Ma ono nawet balkonik między rozrostłymi drzewami akacyi. Ale wszystko to ma powab w lecie; teraz zima, więc proszę do pokoju.

Nie zadzwonimy, bo o siódmej oto godzinie, kto wie czy Anna, choć w ostatnim siedzi pokoju, nie drgnęłaby na głos dzwonka. Po co dla próżnej ciekawości z tajemnej głębi serca wywoływać wzruszenia i próżnej narobić biędy z tłumieniem ich i tuleniem? Możemy wejść nie poruszając dzwonka, nie wywołując daremnego serca bicia.

Bal jeżeli nie serca i pragnienia, obawy, walki co na dnie jego się toczą, coż nam pokazać chcecie w owem mieszkaniu od podwórca? Meble? My ich nie ciekawi. Codzienne zachody i gospodarskie kłopoty? Rachunki z kucharką? Wizyty czy sprawunki? Mamy tego dosyć. Co piszecie, bierzemy do ręki dlatego, żebyście nas odosobnili w tej całej sferze zajęć płonnych i nudnych, żebyśmy w obec pisania waszego zostali sam na sam z sercem naszym, żebyście przed nami rozwinięli historią jego, uwydatnili nieznaczne rysy, wstawili światło w ciemne jego zakątki, rozplatali uczucie jego gmatwaninę, dosłuchali każdego drgnięcia, wskazali źródło z kąd boleść bije, wypowiedzieli co niewypowiedziane, odmalowali co nieujęte, wytłumaczyli co niezrozumiałe. I ból uleczyli?... Nie, — tylko żebyście nam przyznali że cierpimy i.... boleść urokiem poezji odzili.

Dobrze, kazania wam nie powiemy, niech prawi kto inny. Wy nie zdziwicie się, owszem poczytacie nam za dobre, że wejdziemy do mieszkania Anny, nie zwożąc jej serca dźwiękiem dzwonka.

Weszlśmy cicho, nikt nas nie widzi, wszystko rozpatrzeć możemy. W przedpokoju nie ciekawego. Zład na boczny pokój rzucmy okiem: tam ciotka Anny czyta gazety, a jej kilkonastoletnia córeczka Stefcia, na robotkę spuściła oczy, a na świeżej twarzyczce długie rzęsy odbijają cieniem. Nie przerywajmy im zajęć, nie mamy do nich interesu. Do pokoju też pana nie możemy iść po co, pusty i ciemny. W saloniku wątpię żebyście się zatrzymać chcieli; tu ojciec Anny z trzema biurkami kolegami gra w karty. Idźmy dalej, dla nas niema drzwi zamkniętych. Na wzniesieniu o parę schodków jest pokój Anny: lampka na stoliku od pisania, w pokoju kwiatów i książek dużo. Od drzwi

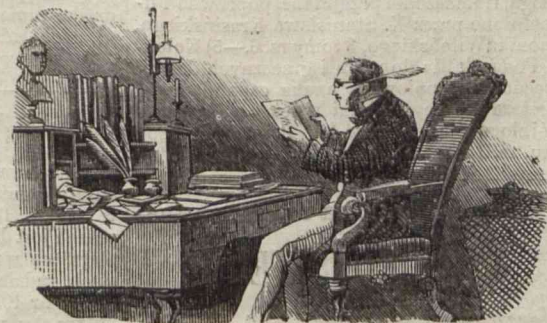
wchodowych odwrócona, wsparła głowę na rękę; znać zamysłona, ani nas słyszy, ani widzi, i my jej twarzy dojrzyć nie możemy, bo skryła ją w dłoniach, ale możemy.... przeczytać pismo jej świeżutkie, bo jeszcze atrament nie usechł na niem i pióro świeżo użyte pod ręką leży. Czytajmyż:

„Dnia 20 lutego 1852 r. „Przeto iż pracowała dusza twoja, ujrzy i nasyci się.“ Wierzę, więc na trud, więc na ból w pracy się nie skarzę. Wygodniej byłoby duszy nie pracować, wygodniej byłoby zamknąć uszy serca na głosy zmieszane, a często sobie przeciwne, które dziś z zewnątrz, ze świata, z czasu płyną, niż zebrać je skwapliwie i nad rozróżnieniem prawdziwych upracować się i śmiało a stanowczo wybrać te i zrobić je prawem, a na inne wygotować odpowiedź odporną duszy, i każdej chwili gotowe tak lub nie znaleźć. Wygodniej byłoby usunąć i ocalić osobistość swoją od roboty czasu i schować się za dniowe troski, uciechy i prace. Wygodniej byłoby ręce skrzyżować na piersiach, oczom pozwolić błądzić po gwiazdach i chmurach i dać się unieść bezwiednie życia falom, rokosznie się na nich kołysząc. Wygodniej byłoby zbierać kwiatki, słuchać piosenek, w przechodzie gdzieś gdzieś leżę otrzeć, splatać wieniec z kwiatów wspomnienia i brylantami nadziei świetne dzierżyć wzory. Wygodniej byłoby te zadania życiowe, co w postaci pytającej raz wraz stają przed myślą, odpędzić jak muchy natrętne, zagadać hucznych uciech halasem, lub powszedniej pracy zaprzęgnięciem. Wygodnie, lecz czy godziwie? Komu raz zakłócony nieświadomości, dzieciństwa spokój, ten powinien walką, trudem, bólem, siłą zdobyć, a przynajmniej zdobywać, drugi spokój, głębszy i pewniejszy; ten powinien, choć po jednej cegiełce znosząc, zbudować dom serca swojego tak, aby „gdy spadnie na niego deszcz, i przyjdą rzeki, i uderzą wichry, on nie upadł, albowiem na opo-
ce ugruntowany.“

„Dziwne usposobienie moje! Promień światła, gdy przeniknie duszę, zamiast mnie uspokoić, gwałtowne budzi pragnienie podziału. Bije znów serce niespokojnym życzeniem wypowiedzenia: zdobyłam! wypowiedzenia przez taką zwłaszcza duszą, o której wiem że równe moim przechodzi trudy i bóle, a siły równej... może niema. Wstydzę się tego com tu napisała; ale cóż dziwnego. Ja kobieta, ja wszystko mogę w tym, który mnie umacnia! On... Nie cierpię tych romansowych zwrotów. Ale czyż to romans? Czy nie wolno się mojemu młodemu sercu zatrzymać nad obrazem dwóch dusz dążących do prawdy, wspierających się wzajemnie i dopełniających się różną jakością swoją? Czyż widok taki godnym Boga nie jest? Czy nie zasilałoby nowem życiem duszy, rozwinięcie jej władz ku szczęściu? Czy nie miałyby więcej siły posiadając, jak walcząc? Czy nie byłaby większą, potężniejszą w majestacie szczęścia swego, w dniu tryumfu, wysoka, wdzięczna, skruszona, jak okryta kurzem, krwią i błotem na polu walki? Ja się pytam tylko, o Pani! ja niczego nie chcę bezwzględnie. Głośno woła głos serca, pragnienie życia; ale one umilkną przed głosem Twoim, jedynym prawem mej duszy. Tak, ja wszystko mogę w Tobie! Mogę niechcieć czego chcę! Ty mnie ucz czego chciał...“

Resztę widać kończyła bez słów. Usuńmy się, nie przerywajmy modlitwy niewieściego serca....

(Dalszy ciąg nastąpi).



Redakcja Tygodnika Ilustrowanego otrzymała od p. T. K. w Warszawie rs. 3 na nagrobek Dominika Szulca.

Księciu G. ze *Stariej wsi pod Węgrowem* przyznajemy słusność zupełną co do zadania szachowego N. 48. Mat istotnie jest nieuchronny w drugim posunięciu, i to na dwie strony, szachując królową albo na C4, albo na E4. Okoliczność ta wszakże podanemu przez nas rozwiązaniu ujmie tylko wartość praktyczną, a nie kombinacyjną, pod którym to względem jest ono arcy-dowcipnie obmyślanem.

P. W. M. w *Olkuszu*. Wzmiankowane przez Pana pamiętki stron olkuskich chętnie w Tygodniku pomieścimy, byle tylko rysunki i opisy wymaganiom naszym odpowiadały. Nadesłanego wierszyka drukować nie możemy.

DONIESIENIA.

Komitet Towarzystwa zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim zawiadamia, że do reprodukcji na rok bieżący wybrany został obraz p. Simmlera, przedstawiający zgon Królowej Barbary Radziwiłłówny i zarządzone wykonanie litografii znacznie większych rozmiarów, z której odbicia rozdane będą z końcem bieżącego roku wszystkim Członkom Towarzystwa; przytem, prostując pomyłkę w artykule Kurjera Warszawskiego z dnia 8go stycznia nr 6, Komitet oświadcza, że stosownie do artykułów 2go i 12go ustawy, nie tylko Członkowie rzeczywisti, ale zwyczajni i honorowi otrzymują reprodukcję, nadto ci wszyscy, którzy składkę wnieśli, otrzymują po tyle egzemplarzy, ile sztuk dowodów posiadają, jako to na odwrotnej stronie każdego dowodu wydrukowano. Składka Towarzystwa jest pobierana jak dotąd codziennie od godziny 11ej do 3ej w kasie urządzonej przy lokalu Wystawy, a prosta przesyłka pieniędzy przez kogokolwiek z karteczką zawierającą imię i nazwisko, i adres osoby wnoszącej, będzie dostatecznym do uzyskania dowodu.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów. Otrzymała następujące nowe dzieła: Z życia okrucy pomatu, przez Leonarda Sowińskiego 16-ka. Cena kop. 75.— Verbum nobile, opera w jednym akcie, słowa Jana Chęcińskiego, muzyka Stanisława Moniuszki 16-ka kop. 30 — Nauki wiejskie dotyczące się gminy życia i stosunków wieśniaka, przez Ewarysta Estkowskiego 8-ka kop. 90.

Biblioteki popularnej nauk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału A. Bernsteina, wyszedł obecnie nakładem Karola Bernsteina tom XII i obejmuje: *Człowiek jakim jest i co znajduje*, przełożył St. Löwenhard. Cena egzemplarza kop. 60. Z tym tomem ukończone zostało całe dzieło, którego cena wynosi teraz rs. 7. Osoby zamieszkałe na prowincji raczą nadesłać do powyższej księgarni rs. 8, a otrzymają 12 tomów tego dzieła zaraz odwrotną pocztą.

NAKLADEM

B. M. WOLFFA

w St. PETERSBURGU,

Wyszły nowe dzieła i są do nabycia we wszystkich znaczniejszych księgarniach Warszawskich i na prowincji: 1) Biblioteka zaściankowa, tom III i IVty. Powieść nieboszczyka Pantofla. Z papierów po nim pozostałych. Wybrane i ogłoszone przez Eleonorę Sztjerner. Wydanie drugie 2 tomy. Cena rs. 1 kop. 50. — 2) Rys dziejów powszechnych Jerzego Webera. Przełożył z piątego niemieckiego wydania M. B. Szyszko, tom I szty przedpłatą na tom 2gi rs. 1 kop. 50. — 3) Obrazy natury, z umiejętnymi objaśnieniami Aleksandra Humboldta. Przełożył z 3go poprawnego i pomnożonego wydania A. E. Urbański, 2 tomy 8-ka rs. 2 kop. 50. — 4) Historia powszechna kościoła Jana Alzoga, tłumaczenie przejrzałe, poprawne i uzupełnione przez X. Stanisława Krasieńskiego, kanonika Wileńskiego, 3 tomy rs. 6.—5) Kalendarz. Podarek dla dobrych i grzecznych dzieci. Abecadło i stopniowana nauka czytania część pierwsza z drzeworytami w tekście i w oddzielnej złoconej oprawie 4-ka, Petersburg 1860 roku, rs. 1 kop. 50.

Księgarnia krajowa i zagraniczna

J. J. OKOŃSKIEGO

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

Otrzymała na skład główny obecnie wyszły zeszyt 6ty Dziennika politechnicznego, wydawanego przez braci Marczewskich. Cena roczna rs. 6, półroczna rs. 3, pojedynczy zeszyt kop. 50.— Powyższa księgarnia otrzymała również na skład główny. Gazetę rolniczą, wydawaną przez A. Mieczyskiego. Prenumerata roczna rs. 4, kwartalna rs. 1.

NAKLADEM

Księgarni Polskiej A. DZWONKOWSKIEGO I SPÓŁKI

opuścił prasę kalendarz **ilustrowany dla Polek na rok 1861** i obejmuje: I. Właściwy kalendarz, oraz przypomnienia ogrodnicze.—II. Wykaz alfabetyczny świętych z oznaczeniem daty.—III. Artykuły literackie: 1) Eleonora Ziemięcka (z portretem) p. S. Z. Pruszkowa; 2) Stanisław Moniuszko (z portretem), p. Alojzego Kuczyńskiego; 3) Ręczajscy (z dwiema rycinami), p. Juliana Bartoszewicza; 4) Pomnik Kordeckiego (z ryciną), p. Józefa Prackiego; 5) O muzyce tanecznej u nas, p. Sosnkowskiego; 6) Przegląd bibliograficzny z roku 1860, p. Józefa Prackiego.—IV. Artykuły naukowe i gospodarcze: 1) Hygiena popularna, p. Dra Gregorowicza; 2) Szkice astronomiczne, p. Wł. Anczyca; 3) Słowo do gospodyń polskich, p. Albina Kuhna; 4) O wystawie paryskiej i o kurpatwach kalifornijskich (z dwiema rycinami), p. Józefa Prackiego; 5) Nowa kierzynia stołowa (z modelem), p. Albina Kuhna.—V. Powieści: 1) Małe tajemnice Warszawy (z 4-ma rycinami), p. J. K. Gregorowicza; 2) Gdzie szczęście (z 2-ma rycinami), p. Józefa Smigielską; 3) Dziewica uboga (z ryciną), p. Eleonora Ziemięcka; 4) Wyrok królewski (z ryciną), p. A. z Ch. Borkowską.—VI. Poezye: 1) Żoko bajeczka nie dla dzieci (z dwiema rycinami), przez księcia Masagietów; 2) Moda i zbytek operetka komiczna bez muzyki (z ryciną), przez Władysława Anczyca; 3) Piosenka narzeczona, p. G. bryelę P.; 4) Ogród serca, p. Deotymę; 5) Przekwitaj czy wiedzaj, p. Gabryelę; 6) Idealni, wyjątek z trzech aktowego dramatu, p. Karola Piętkowskiego; 7) Piosenka, p. J. Grajnera; 8) Chrystus w łodzi, p. Julje Janiszewską; 9) Dwa słowa, p. J. I. Kraszewskiego; 10) Wezwanie do mazura, p. Władysława R.; 11) Odpowiedź, tegoż.—VII. Tabela przychodu i odchołu poczt w Warszawie; 2) Katalog księgarni Polskiej; 3) Ogłoszenia księgarskie i inne. Cena egzemplarza na zwyczajnym papierze, w zwyczajnej drukowanej okładce złp. 6 gr. 20 (rubel 1).—Egzemplarze w okładce ilustrowanej na welinowym papierze i z dodatkiem muzycznym, kompozycji Stanisława Moniuszki, sprzedają się po złp. 10 (rubel 1 kop. 50), w sprawie bardzo eleganckiej ze złoconymi brzożkami złp. 20 (rubli 3).

NB. Osoby na prowincji zamieszkałe, raczą dołączyć na koszt przesyłki pocztą złp. 2 (kop. 30).

Kol Nidre i Venyslach, celè bres chants reli, giewz, ułożone na fortepian wyszły z drukarni nakładem księgarni i składu nut muzycznych Józefa Kaufmanna i spółki, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 442 (71), wprost odwachu. Cena kop. 50. — Nabyć także można we wszystkich składach nut muzycznych tak tu tejszych jak i prowincjonalnych.

Ponieważ od dnia 1go Stycznia b. r., zostałem być redaktorem Kmiotka, pisma tygodniowego wydawanego przez p. M. Glüksberga, i do składu redakcji już więcej należyć nie będę, upraszam przeto wszystkich łaskawych na mnie korespondentów, aby w interesach dotyczących się tego wydawnictwa, już nie do mnie, ale wprost udawali się do samego wydawcy. Nie wyrzekając się na przyszłość pracy dążącej do oświecenia i poprawienia ludu wiejskiego, serdecznie przytęm składam podziękowanie tym, co wspierając mnie radą, nieśli chętnie pomoc i obdarzali współczuciem.

J. K. Gregorowicz.

UPRAWA CHMIELU

w zastosowaniu do średnich i małych gospodarstw kraju naszego z 7miu drzeworytami w tekście. Dziełko pod tym tytułem opuściło prasę i jest do nabycia po cenie k. 50 za egzemplarz we wszystkich księgarniach Warszawskich, tudzież w mieszkaniu wydawcy. (Ulica Piwna nr 108). Szanowni obywatele ziemscy, którzy by porozumiawszy się między sobą w okolicy, raczyli nadesłać do wydawcy razem należność za dwa lub więcej egzemplarzy franco, nie będą ponosić kosztów przesyłki dziełka. PP. księgarze prowincjonalni i z Cesarstwa, raczą się także do mnie udawać, biorącym bowiem za gotówkę w większych partjach, odstępuję stosowny rabat.

Adam Wislicki.

Zawiadamia się ostatecznie wszystkie osoby biorące na kredyt lekarstwa z apteki Jana Dąbrowskiego w Lublinie po dzień 1go lipca 1860 roku, iż podpisane sukcesorki zmarłego Jana Dąbrowskiego upoważniły W. Stanisława Illustrowskiego, patrona w Lublinie do windykacji wszelkich z tego tytułu należności. Osoby przeto dłużne w tej aptece, raczą uiszczyć należności swe do nowego roku 1861, gdyż bezwzględnie po tym terminie, W. Illustrowski rozpocznie kroki prawne względem osób, które się nie wypłaciły.

Walerya Dąbrowska,
Teodora Dąbrowska
i Fryderyka z Dąbrowskich Maleszewska.

PATENTOWANE

Amerykańskie maszyny

DO SZYCIA

B. MOORÉGO.

Maszyny mojej konstrukcji zastosowane być mogą w każdej rękodzielni, jako i w domowym gospodarstwie, są najprostsze, sumiennie wykonane; najtańsze. Maszyny moje są tak w armii Austrjackiej, Rosyjskiej jak i Pruskiej zaprowadzone, o użyteczności których nader pochlebne świadectwa posiadają. Cenniki z rysunkami tychże maszyn, oraz próby wszelkich rodzajów szwów, w najodleglejsze strony nawet, franco posyłam.

B. Mooré z Nowego Yorku.

Założyciel handlu maszyn do szycia w Europie, w Berlinie französische str. Nr 33.

SYROP OWOGOWY

(Extrait de Fruits),

ulgę przynoszący w chrypkach, kaszlach i w ogóle w słabościach piersiowych, wyrabiany z najlepszych owoców południowych, codziennie świeży sprzedaje się w cukierni Roberta Wisniewskiego, przy ulicy Długiej Nr 585 w hotelu Polskim.

Zawiadamiam szanowną publiczność, iż odjął i nadal w cukierni mojej przy ulicy Długiej w hotelu Polskim Nr 585, wyrabiać będę nowe gatunki Tortów, jakoto:

(1) MARACHINO-TORT

Nasycony essencją marachinową, nader delikatny, niestarzący się, a ztąd do przewożenia na prowincję zdalny. Tort ten, lubo w cenie nader umiarkowanej (od rs. 1 k. 50 do rs.4 za sztukę) zaleca się wszystkim przytomiami wyborowego ciasta i na szczególną uwagę w dobroci swojej zasługuje.

(2) VICTORIA-TORT

Ciasto na sposób angielski, wyrób wyższej szkoły cukierniczej, obok przyjemnego widoku, mieści w sobie wszystko, cokolwiek najsmakowitszego złączyć może. Cena za sztukę od rs.3 do rs. 6.

R. Wiśniewski.

ZAKŁADY TECHNICZNE

LUDWIKA SPIESS

Skład Główny w Warszawie,

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek,

zapatrzony został przy odpowiedniej porze roku

W PATENTOWANE

LAKIERY

FARBY OLEJNE

TARTE

we wszystkich kolorach i najlepszych gatunkach FARBÓ te, jak również i LAKIERÓ, są przyrządzone wprost do użytku, tak, iż każdy najmniejszy nawet obeznany z sztuką malarską, może ich używać; i dla tego szczególnie zastosować się dają do robót, dla osób zamieszkałych na prowincji, gdzie większa trudność w dokładnym przyrządzeniu takichowych przedmiotów.

NB. Sposób użycia jest na każdym naczyńiu wydrukowany, a flaszki opatrzone są pieczęcią i etykietą zakładu.

MASSA

do zaprawy podłóg i posadzek w różnych kolorach, oraz

MASSA BIAŁA WOSKOWA

do posadzek mozaikowanych drzewem różno-kolorowem, jakoteż prędko schnące

ZAPRAWY LAKIEROWE

FARBÓ OLEJNE

do podłóg nie wymagających froterki wszystko to wyrabiane

W PATENTOWANEJ FABRYCE

LAKIERÓW

J. A. KRAUSSE

przy ulicy Bonifraterskiej Nr. 2163 wprost Kościoła,

a w obecnej porze w znacznym zapasie przyrządzone, sprzedają się po cenie stałej i nadzwyczaj umiarkowanej tak w Fabryce, jak i w Głównym Składzie przy ulicy Miodowej Nr. 484 nowy 8, wprost Rządu Gubernialnego i w wielu handlach Warszawskich, jako też we wszystkich miastach Królestwa i Cesarstwa.

POSADZKI PARKETOWE

w trwałej i fornirowanej robocie, w najgustowniejszych wzorach wykonane, możemy po nader taniach cenach, jako powszechnie za najlepszy wyrób uznane, polecić, nadmienając że przy znacznie powiększonej produkcji jesteśmy w stanie wszelkim zamówieniom w jak najkrótszym czasie zadość uczynić. Oryginalne modele, rysowane wzory i cenniki na żądanie chętnie bywają nadsyłane. Zapakowanie bardzo tanio się liczy.

Elfeld przy Harzu w Królestwie Hanowerskim. Elfeldska fabryka posadzek parketowych i wyrobów z drzewa

FRANCISZKA ATHENSTAEDT.

Dom handlowy

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz egzystującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowej pod Nr 492, otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście (pod Nr 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych francuzkich, angielskich i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pajaki, Zegary stołowe i ściennie, Świeczniki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące i wiszące, Konsolki, Bronzy do franek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony, A tout cas, Spierurgi Portmonetki, Cygarniczki, Pugilaresy, Kapelusze jedwabne paryżkie, Porcelany chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Paletoty gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby brązowe i porcelanowe. Polecając się prześwietnej publiczności, wyżej wymieniony Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowane ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, któremi dotąd Publiczność go zaszczycała.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 14 (26) stycznia 1861 r. — Starszy cenzor, F. Sobieszczański.

Redakcja przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr. 391.